№ 10. Warszawa, dnia 10 Marca (26 Lutego) 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY”
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Nakładem naszym wyszła i jest do nabycia w kantorze *Prawdy* oraz we wszystkich księgarniach książka p. t.

Męczennicy myśli.

Cena rs. 1.

Dla uniknięcia opóźnień lub też braków w odbiorze pisma, abonenci nasi zechcą łaskawie pośpieszyć się z przesłaniem prenumeraty za nachodzący kwartał. Prośbę naszą polecamy ich uwadze z tem większym naciskiem, że znowu początkowe numery zeszłego kwartału wyczerpały się.

Złote usta.

Jakkolwiek często słyszymy lekceważenie talentów krasomówczych w polityce, od czasu do czasu przekonywamy się, że one w niej ważą nieraz więcej, niż krętaniny dyplomatyczne i ratują pozycyę, której żaden inny wysiłek powstrzymać nie zdoła. Dowiódł tego w sposób istotnie świetny galicyjski poseł w wiedeńskiej Radzie państwa Hausner. Zaznaczając jego tryumf, zauważymy wbrew owemu lekceważeniu, że nie małą szkodą dla Koła polskiego w Berlinie jest brak dzielnego mówcy. Walki parlamentarne wygrywują się przedewszystkiem tego rodzaju zdolnościami. Przywódca każdej poważnej partyi musi być koniecznie znakomitym mówcą. Takim jest w sejmie pruskim Windhorst (ultramontanin), takim jest również Richter (postępowiec). Poznańczycy nie mają Cyceronów. Aż przykro nieraz czytać sprawozdania stenograficzne gazet z posiedzeń parlamentarnych, redukujące przemowę Kantaka lub Stablewskiego do kilku wierszy, podczas gdy wywody innych posłów rozpościerają się nieraz na całych kolumnach. A nie można tego kurczenia jednych wystąpień a rozszerzania innych przypisywać jedynie tendencyjności niemieckich gazet i stenografów; gra tu także pewną rolę różnica oratorskich talentów. Naturalnie, nie winni Stablewscy, Jaździewscy i Kantakowie, że im natura nie dała złotych ust—wypowiadają swe skargi czy żądania jak mogą i umieją. Fakt wszakże nie mniej pozostanie faktem, że żaden z posłów poznańskich nie oddziaływa potężnie na Izbę, żaden nie jest Demostenesem, żadnemu myśli i uczucia nie wylewają się z ust porywającym słuchaczów potokiem.

Szczęśliwsza delegacya polska w Wiedniu ma takiego oratora w osobie Hausnera. Wszyscy zapewne pamiętamy jego piorunującą, w całej Europie głośną mowę z powodu przyłączenia do Austryi dwu prowincyi — Bośnii i Hercogowiny. Od owej chwili Hausner nie błysnął swem słowem ani razu tak oślepiająco, jak właśnie teraz przy obradach nad budżetem. Korespondent nasz (w „Cudzych głosach“) podaje z tej mowy kilka wyjątków, a wszystkie niemal polityczne pisma polskie i niemieckie nadają jej niezwykłą ważność.

Rzeczywiście, nie jest to jedynie świetny popis deklamacyjny i błyskanie dowcipem, ale jest to potężny cios, zadany centralistom niemieckim i odparcie uderzeń, padających na słowian austryackich wogóle a polaków w szczególności. Dzięki chciwym dłoniom i elastycznemu sumieniu pp. Kamińskiego i Wolskiego na Koło polskie w Wiedniu spadł cień, który zuchwała i własnych swoich podłości niepomna lewica wyzyskała niebezpiecznie dla delegacyj galicyjskich i sprzymierzonego z nią obecnego gabinetu. Ostatnie wystąpienia jej hersztów groziły fatalnym przewrotem a co najmniej przesunięciem się steru państwa ku stronie, dla autonomicznych praw i dążeń wrogiej. I nie widać było człowieka, któryby tonącą prawicę uratował, a jej nieprzyjaciołom rzucił w twarz słowa prawdy i słusznej kary. Uczynił to właśnie Hausner, który przepędził przez bolesne bicze centralistów, których osmagał ironią i oświetlił im miedziane czoła. Czternaście milionów słowian pozostaje w służbie ośmiu milionów niemców, którzy narzuciwszy im język i zająwszy naczelne stanowiska, nie zadawalają się lwią częścią i chcą jeszcze pokrzywdzonym wydrzeć ostatni kęs chleba, powstrzymać ich w rozwoju, obedrzeć ze swobód. Ktoś nazwał statystykę nauką najbardziej rewolucyjną, w ręku Hausnera stała się ona dynamitem, który wysadził w powietrze niemieckiego Molocha, nienasyconego ofiarami pożartej Słowiańszczyzny. Po tej mowie rząd poczuł się silniejszym, delegacya galicyjska bezpieczniejszą, a bezwstyd centralistów bardziej nagim.

Nie należymy ani do wyznawców anachronistycznego w wielu sprawach programu prawicy, ani do czcicieli bez busoli pływającego Koła polskiego w Wiedniu, które z nią razem wędruje; ale widzimy jasno, że zwycięstwo centralistów byłoby straszną klęską dla wszystkich ludów słowiańskich w monarchii austryackiej. Hydrze germanizmu wyrosłyby nagle wszystkie odcięte łby, którymi ona inne żywioły tak krwiożerczo dusi. Jeżeli zaś niebezpieczeństwo to jest dziś zażegnanem, niewątpliwie w znacznym stopniu przyczynił się do tego Hausner — a przyczynił się tylko ostatnią mową. Jego złote usta zastąpiły stalowy miecz a co najmniej ową sieć przebiegłych intryg, do których w braku miecza, napadnięte partye polityczne uciekać się muszą.

Ewangielizacya.

W Warszawie nikomu ani się śni zapewne, ażeby w Europie, w chwili obecnej, toczyła się gdzie wojna. Boć — przypuszczać należy — za wojnę nikt nie bierze starć orężnych, zdarzających się od czasu do czasu w punktach, w których prawa niewątpliwe, przyznane uroczyście czarnogórcom, wchodzą w styczność z prawami niewątpliwemi, przyznanemi uroczyście Wysokiej Porcie, albo w punktach, w których takież prawa hercogowińców krzyżują się z takiemiż prawami gabinetu wiedeńskiego. Nie liczy się to. Na to się nie zważa. Te stracone dyplomacyi posterunki mają specyalne znaczenie swoje. Może się na nich krew potokami lać, bez obudzenia zajęcia niczyjego. Może tam zabrzmieć jeden, za pomocą ładunku ślepego dany wystrzał i zapalić wojnę wielką. To materya inna; dotykam jej dla tego jedynie, ażeby powiedzieć, że nie o nią chodzi. Nie chodzi też o walki parlamentarne i wyborcze, ani o polemiki żadne walkami przez przenośnię zwane; ale o wojnę, o wojnę bezkrwawą wprawdzie, regularną i formalną jednak — regularnie i formalnie złemu duchowi, szatanowi wytoczoną.

Kiedym bawił w Paryżu, zostałem razu pewnego, na ulicy St. Honoré zatrzymany przez jakiegoś bardzo porządnie wyglądającego jegomościa wyrazem „Monsieur!“ ze szczególnym jakoś wymówionym akcentem. Stanąłem. „Jeżeli — uderzyły mi o słuch wyrazy — masz wątpliwości jakie, wątpliwości będą rozwiązane; jeżeli cię co uciska, znajdziesz ulgę; jeżeli smutek duszę twoją przenika, doznasz pocieszenia.“ Tonem przekonania nabrzmiałe słowa zastanowiły mnie; podniosłem z wyrazem zapytania oczy na jegomościa i ten, ręką na drzwi otwarte w głąb długiego korytarza prowadzące wskazując, dodał: „Wejdź tam jeno.“ W korytarz spojrzałem, jegomości się skłoniłem, podziękowałem mu i drogą moją poszedłem. Do zdarzenia tego znaczenia nie przywiązywałem najmniejszego, w mniemaniu, że jest to jedna z form, jakie przybierają reklamy handlowe. Wydało mi się, że rozwiązanie wątpliwości, ulga i pociecha polegają na tem, ażebym nabył scyzoryk, grzebyk lub szelki. W parę tygodni później znalazłem się w Genewie i zastałem ów Rzym kalwiński... w stanie oblężenia. Miasta nie otaczały przykopy, bateryei wojska, wszystko to bowiem znajdowało się wewnątrz, pod postacią podwójną: pod postacią rozlepianych po murach afiszów i korpusu operującego pod dowództwem marszałka, panny Katarzyny Booth. Dowiedziałem się, że jegomość ów, co mi w Paryżu pocieszenie obiecywał, a panna K. Booth do jednej i tejże samej należą armii — do „armii zbawienia“ (*Armée du salut, Salvations-Army*), sformowanej przed laty kilku w celu podbicia świata dla — ewangielii.

Fakt to ze wszech miar ciekawy, zasługujący na to, ażeby się zastanowić nad nim. Armia zbawienia przedstawia się nie lada jako, jeżeli sądzić o niej będziemy wedle cyfr. W roku 1882 liczyła ona oficerów na żołdzie 760 i szeregowców 15,000. W roku 1881 wydatki jej wynosiły 57,000 funtów szterlingów, co czyni 1,425,000 franków. Rozporządza więc i personelem licznym i funduszami znacznymi, skąd wynika, że posiada dane, stanowiące o racyi bytu. W przeciwnym razie, to jest, w razie gdyby racyi bytu nie miała, nie garnęliby się do niej ludzie, nie wpływałyby do kasy jej pieniądze. To jasne. Dodać jednak potrzeba, iż racya nie obchodzi się bez pewnych podpórek sztucznych, udzielających jej oparcia. Do podpórek tego rodzaju zaliczyć należy osobistości kilka z arystokracyi angielskiej, a także i samą królowę angielską. Nie świadczy to o wartości przedsięwzięcia, daje mu atoli ruch, bodaj na czas jakiś; trudno bowiem przypuszczać, ażeby niedorzeczność podobna długo utrzymać się mogła.

Na czemże niedorzeczność owa polega? albo raczej: co to jest armia zbawienia? „Jest to — jak powiada przedmiotowi temu poświęcona broszurka —korpus, złożony z mężczyzn i kobiet nawróconych do Boga i stowarzyszonych pod postacią wojska. Celem ich jest przyprowadzenie ludzi do poddania się Bogu, a przynajmniej do słuchania o miłości bożej, o zbawieniu, jakie im Bóg udzielić chce, i o prawach bożych do miłości i służby ich.“

Założycielem, organizatorem i wodzem naczelnym korpusu tego jest p. William Booth, eksminister kościoła wesleyańskiego. Rozpoczął on operacye w Anglii; dobrze mu tam poszło, przeniósł więc je do Ameryki, do Australii, do Indyj, do Francyi i Szwajcaryi. W Anglii, Ameryce, Australii i Francyi przemijało to jakoś bez hałasu. W Indyach były zajęcia jakieś. Aż hałas zrobił się w Szwajcaryi, w Genewie mianowicie: policya wypędziła armię zbawienia, z powodu zaburzeń, jakie ta na ulicach wywoływała.

Dla wytłomaczenia powodu zaburzeń opowiedzieć należy sposób operowania armii i ustrój jej. Co do ustroju, ten jest czysto wojskowy. Armia dzieli się na dywizye, brygady, pułki, kompanie, te ostatnie na sekcye. Na czele działu każdego stoi odpowiedni wódz. Sekcyi przewodniczy podoficer; kilka sekcyj stanowi pluton, na czele którego stoi porucznik; dwa plutony idzie na kompanię, którą dowodzi kapitan; kompanie wchodzą w skład batalionu, dowodzonego przez majora; dalej następują pułkownicy, generałowie, marszałkowie, słowem, cała hierarchia wojskowa, złożona z osób płci obojga i zależąca bezwarunkowo od wodza naczelnego, pana W. Bootha, przebywającego w głównej kwaterze armii zbawienia, założonej na Whitechappel Road, w Londynie. Tam się koncentruje władza cała; stamtąd wychodzą rozkazy — nie tylko rozkazy, główny bowiem i najważniejszy obowiązek każdego członka tej organizacyi polega na bezwarunkowem, ślepem posłuszeństwie, na ścisłem stosowaniu się do instytucyj, udzielonych nie przez kogo innego, jeno przez wodza naczelnego. Członkowie organizacyi tej mają mundur, który ich odznacza litera *S* (*salvation*), wyszytą na kołnierzu; mają sztandar z dewizą: „Krew i ogień.“

O instrukcyach, dowodzących wielkiego poznania słabości ludzkich, rzeknę słówko poniżej, ograniczając się obecnie na przedstawieniu powodów, które nieporządki w Genewie wywołały.

Spotkanie

przez

Maksa Nordau.

— Wiesz, jak się rozstałem z tobą. Byłem rozdrażniony, z gołą głową, bez zmysłów. Kiedym wychodził z pasażu Saumon na Monmartre, na ulicy było pusto. Zdala słyszałem bębnienie. Jak się zdawało, żołnierze nadciągali z bulwaru. Koło mnie przesunęło się kilka osób, widocznie uciekających do zaułków. Zanim zdołałem zdać sobie sprawę z tego, co się działo, zahuczał strzał, uczułem silne pchnięcie i upadłem. O kilka kroków przedemną padł ktoś drugi i odrazu nie dawał znaku życia. W pasażu Saumon otworzono okno i zaraz znów je zamknięto. Nadbiegli żołnierze. Nieśli kilka latarń i pochodni. Najprzód doszli do towarzysza mego. Zaświecono mu w oczy, zakrzyczało kilka głosów i widziałem, jak zakłuto go bagnetami. Potem przyszli do mnie. Już i nademną błysnęły bagnety; broniąc się, instyktownie, wyciągnąłem ręce, wtedy oficer zakrzyknął: stójcie! — przystąpił do mnie i zapytał, kto jestem. Powiedziałem z takim pośpiechem, jak mi na to pozwalała trwoga śmiertelna, że jestem szwajcarem, wychowańcem szkoły centralnej, zamieszkałym w pasażu Saumon, że przypadkowo wyszedłem na ulicę i zostałem ranionym. Oficer obejrzał mi ręce, nie były poczernione od prochu. Poświecono wokoło: broczyłem w krwi, ale w pobliżu nie było oręża żadnego. Gdzie pański kapelusz? — spytał oficer. Wyszedłem z domu bez kapelusza. To podejrzane — odrzekł ku przerażeniu mojemu, po namyśle jednak chwilowym, który mi wydawał się wiecznością, rozkazał położyć mnie na wózek od warzywa stojący nieopodal i odwieźć do szpitala. Czterech żołnierzy szorstko wrzuciło mnie na wózek i zawlokło do Hôtel Dieu.

Zatrzymał się w toku opowiadania.

Spojrzała na niego, a oczy jej napełniły się łzami.

— Gdybym ci mogła powiedzieć, co się ze mną działo owej nocy! Zaledwie wyszedłeś, gdy do pokoju wpadł odźwierny i zaryczał: Panno Paulino! panno Paulino! Tylko co pana Rudolfa zastrzelili na ulicy i odwieźli. Chciałam pobiedz na dół, ale on gwałtem mnie wstrzymał. Chciałam wyskoczyć z okna, nie pozwolił na to. Musiałam czekać do rana. Wtedy pobiegłam do truparni, na cmentarze, wszędzie, gdzie wystawione były trupy: widziałam ich co niemiara, ale nie odnalazłam ciebie.

Mówiąc to, zbladła aż po usta i błędnym wzrokiem wodziła wokoło. Przyciągnął ją do siebie, a ona bezwiednie głowę opuściła mu na ramię.

— Byłam wszakże przekonaną, że umarłeś — ciągnęła dalej — i że wrzucono cię w ten grób ogólny. Mówili mi tak wszyscy, których o to pytałam. A ty sam przecież żadnej nie dałeś wiadomości o sobie! Czemuś nie uczynił tego, gdyś był jeszcze w szpitalu? Czy bronili ci tego? Czy byłeś nieprzytomny?

— I jedno i drugie, moje dziecię. Przez długi czas byłem tak chory, że nie mogłem zebrać myśli. Kiedy mi się lepiej zrobiło, oddano mnie pod ścisły nadzór, jako podejrzanego, żem walczył na barykadach. Przedewszystkiem musiałem odnieść się do poselstwa mojego kraju, ażeby dało opinię i poręczyło za mną.

— Kiedy ci więc wolno było mieć stosunki z poselstwem twojem, mogłeś pamiętać i o mnie.

Nic nie odpowiedział.

— A potem przecie zostałeś wyleczonym — mówiła dalej z pewnem natręctwem — i czemuż w ciągu tych długich lat rozłąki ani razu nie przyszło ci na myśl zapytać o mnie?

Zmięszany opuścił głowę na piersi i starał się uniknąć utkwionego w nim, głęboką boleścią przejętego jej spojrzenia. Prawdy przecież nie mógł jej wyznać, nie teraz, nie tu. Dla czego nie pisał do niej, dla czego nie powrócił do swego mieszkania po wyjściu ze szpitala? Wstyd mu było i żal, gdy przypominał sobie o tem w tej chwili: po prostu dla tego, że był kontent ze sposobności opuszczenia Paryża bez ponownego widzenia się z Pauliną.

Była to stara owa historya, która wiecznie pozostaje nową. Młody student w Paryżu poznaje młodą, piękną, samotną robotnicę, znajduje w niej upodobanie, dziewczyna chętnie rzuca się w jego objęcia, on ze swej strony przygarnia do siebie młode, potulne stworzenie. Pod sprzyjającymi warunkami wesoły ten,

Korpus. co Genewę zaatakował. wyszedł z Paryża. Panna K. Booth (córka wodza naczelnego), piastująca godność marszałka, miała przedtem. nim się na gruncie szwajcarskim pojawiła, główną swoją kwaterę przy Quai Valmy. W Paryżu, zdaje się, nie doznała powodzenia wielkiego. W tem mieście olbrzymiem, śród ruchu, jaki tam panuje, operacye armii zbawienia, ograniczające się z konieczności rzeczy na działaniu wewnątrz budynków, przeszły niepostrzeżenie. Na zewnątrz wystąpić nie mogły, więc uwagi niczyjej na siebie nie zwracały. W Genewie, miasteczku małem, rzuciło się to w oczy odrazu. Pojawiły się mundury jakieś; uwijać się po mieście poczęły postacie jakieś zagadkowe; zwłaszcza zaś uwagę na siebie ściągały plakaty — plakaty oryginalne, dziwaczne, jaskrawe, głoszące wojnę na śmierć, wojnę nieubłaganą, zaborczą. Nadawano im tytuły takie np.: ,,Ogień i żelazo,'' ,,Śmierć albo zwycięstwo.'' Po ulicach słyszeć się dawały to psalmy, to hymny wojenne.

Marszałek — panna K. Both — wyprawiony został do Genewy, dla... podbicia jej.

Podbijanie miast, wedle instrukcyj, odbywać się ma za pomocą instrukcyj zewnętrznych i wewnętrznych. Zewnętrzne polegają na procesyach jak najczęstszych. Armia szykuje się, rozwija sztandary, maszeruje i przy odgłosie trąb i bębna odbywa ewolucye, to jest, rozwija lub zwija front, rozsypuje się w tyralierkę, formuje czworoboki i koła, ściąga zbiegowisko i, zatrzymując się tu i owdzie, głośno się modli lub hymny na kolanach śpiewa, niekiedy zaś predykant lub predykantka kazania prawi, wzywając obecnych do nawracania się, do pokuty, do zaciągania się pod sztandary armii zbawienia, mającej za zadanie sprawdzić przepowiednię Chrystusa, tyczącą się jednej owczarni i jednego pasterza. Procesye tego rodzaju odbywać się winny jak najczęściej, po kilka razy dziennie. Resztę czasu obraca armia na operacye wewnętrzne, na zgromadzanie się w budynkach zamkniętych, poświęcone w części spożywaniu wspólnie obiadów i wieczerzy, w części modlitwom, hymnom i kazaniom, głównie zaś przyjmowaniu uroczystemu do grona wiernych grzeszników nawróconych.

W Genewie operacye zewnętrzne w obszerności całej odbywać się nie mogły. Policya, niestety, przeszkody stawiała. To atoli, co się na zewnątrz okazywało, dostatecznem było do zaniepokojenia publiczności ulicznej, wyzwanej zapowiedzią podboju przez przybyszów obcych. Gawiedź wzięła to za pogróżkę, na którą odpowiadała, jak gawiedź odpowiadać umie. Na zgromadzeniach salucyonistowskich sykano, gwizdano, hukano i kocią muzyką hymnom pobożnym wtórowano; na ulicach tworzyły się zbiegowiska, które obrażały członków armii. nie przepuszczając kapitanom i porucznikom płci pięknej. Policya, wobec tych manifestacyj, powtarzających się codziennie, w kłopotliwym znajdowała się położeniu, z którego wyjść nie mogła inaczej, jak usuwając powód nieporządków. Zabroniła więc operacyj, a gdy zakaz nie podziałał, wydaliła z miasta pięć osobistości naczelnych: marszałka, pułkownika, sztabowców dwu i porucznika, t. j. pannę K. Booth, pana Clibborn (bodaj czy nie tego samego, co mnie zaczepiał w Paryżu) i młodziutką, siedemnastoletnią córką księdza kościoła anglikańskiego, Maub Charlesworth.

Wypędzenie ich odbyło się w porządku. Policya, odpowiedzialna za ład i spokój publiczny, usunęła źródło zaburzeń i niepokoju — miała prawo postąpić sobie tak, jak postąpiła i oburzyła na siebie koterye ortodoksów protestanckich, którzy liczyli na to, że przy ogniu propagandy angielskiej uda się im upiec pieczeń własną.

Ortodoksi protestanccy, spopularyzowani w Szwajcaryi pod nazwą „Momierów," oddawna znajdują się w położeniu fałszywem. Lat temu pięćdziesiąt z górą spostrzegli oni, że żarliwość religijna słabnie śród ludu i od lat pięćdziesięciu smażą mózgi i wysilają dowcipy nad rozbudzeniem jej. Nazywa się to „ewangielizowaniem." W celu tym założyli t. zw. „kościół wolny," istniejący niezależnie od państwa a podtrzymywany przez dawne rody arystokratyczne, dla których niema miejsca w życiu politycznem kraju. Nie pomaga to. Protestanci, nie mając na rozporządzenie może wystawności obrządkowej i cudów, które taki wielkie katolikom oddają usługi, poprzestawać muszą na kazaniach, na odgrzewaniu rzeczy odgrzewanych, na szykowaniu na nowo okresów krasomówczych, przeszykowywanych już po razy tysiące. Nie idzie to. Gorliwości religijnej pastorowie wygrzać nie są w stanie za pomocą sposobów zużytych i nadużytych. Nie wychodzi ona po za te sfery społeczne, które w utrzymywaniu jej mają interes klasowy. Świątynie protestanckie są miejscem schadzek dla tych, co się za pokrzywdzonych uważają—dla potomków rodów, co niegdyś znaczenie wielkie posiadały, a dziś pędzą żywot w dumnem odosobnieniu i wyczekiwaniu. spodziewając się jakiejś katastrofy, jakiegoś kataklizmu, jakiegoś ognia niebieskiego na tę Sodomę i Gomorę, w jaką nowe porządki dziedzictwo ich zmieniły. Lud nie garnie się, jak się garnął niegdyś, nie drży nerwowo pod intonacyą padających z kazalnic wyrazów kabalistycznych, stanowiących rodzaj taranów, za pomocą których predykanci czasu onego wyobraźnię porażali. Wyrazy straciły moc dawniejszą i niema skąd wydobyć jej. Wynalazek przeto pana Williama Booth zjawił się niby deska zbawienia i byłby przyjęty i uznany z uniesieniem, gdyby nie przenikający i otaczający go szarlatanizm. Szarlatanizm ów jednak sprowadził powodzenie. Armia duchowna, licząca 15.000 wojowników i ściągająca półtora miliona franków rocznie, to jest cyfra — to ognisko, zarzewie, które, na wyobraźnię wyłącznie działając, wyobraźnie rozognić może. O cóż to głównie chodzi? — o ewangielizacyę. P. W. Booth dobrał do tego sposób, niekoniecznie zgadzający się z powagą, jaką się kler protestancki rad otacza. Cóż tam jednak — sposób! Ten odpadnie, jak łupina; pozostanie rzecz — skutek — poruszenie imaginacyi, z którą nareszcie pastorowie najbardziej cięci rady sobie dać nie mogli. „Niech się przeto armia zbawienia, wraz z królową angielską i z lordami kompromituje—czekajmy."

---

oglądający się na przyszłość stosunek trwa rok, dwa lata, potem nadchodzi chwila, w której student kończy szkołę i powołują go poważne zadania życia. Wtedy żegnaj rozkoszne życie miłości bez trosk! Żegnaj gruchanie gołębie we dwoje w izdebce pod strychem, którą rozświeca jutrzenka młodości i nadziei! Zazwyczaj rozstanie odbywa się łatwo.

On jest zimnym, a ona rozsądną. Potem po raz ostatni je obiad na wsi, zapija szampanem i odjeżdża ze szczerem życzeniem lepszej przyszłości. Albo oboje są sentymentalni. Wtedy płaczą trochę, wzdychają i przyrzekają pisywać do siebie nawzajem, co czynią przez czas pewien; upływają dnie, a czasem i tygodnie zanim szczęśliwie się zabliźni niezbyt głęboka rana sercowa. Ale niekiedy, o, niekiedy.

Otóż wypadek Rudolfa należał właśnie do tych ostatnich. Gdy nadeszła chwila, w której należało opuścić Paryż i oddać się obranemu zawodowi, spostrzegł z przerażeniem, że węzły, które łączyły go z Pauliną, były silniejsze, aniżeli przypuszczał kiedykolwiek. Przez dwa lata dzieliła z nim pokoik w pasażu Saumon. W ciągu tych dwóch lat nie zmartwiła go ani na chwilę, wciąż myślała o tem tylko, jak go zadowolić i uczynić szczęśliwym. Z pocałunkiem i uśmiechem szła rano do roboty, z uściskiem i uśmiechem wracała wieczorem do domu. Gdy on zajęty był pracą, siedziała cicho w kącie i śledziła go spojrzeniem; gdy zapragnął rozrywki, umiała być wesołą, jak młody piesek. Gdy ją brał do teatru, całowała go w rękę za to. Kiedy wychodził sam, smuciła się, ale nic nie mówiła i o nic nie pytała, co go tak wzruszało, że powoli odzwyczajał się od wychodzenia bez niej. Kiedy jej darowywał coś, wzdragała się przyjąć; ledwie pozwalała mu przykładać się czemś do toalety swojej. W ciągu dwóch lat nigdy jej nie widział roznerwowaną, nigdy w złym humorze. I tego rodzaju istotę powinien był, musiał odepchnąć od siebie! Tak, musiał! Boć przecież nie mógł być do tyla szalonym, żeby się chcieć żenić z nią! W dwudziestym trzecim roku! Młody inżenier o świetnej przyszłości, z dziewczyną, którą złowił na trotoarze ulicy Montmartre! Jest to pomysł tak naiwny, że nie warto zastanawiać się nad nim, choćby na chwilę! Gdy jej oznajmił potem, że wszystko skończone, spostrzegł ze zdumieniem i trwogą że zbladła jak trup i padła zemdlona. Odzyskawszy przytomność, głośnym wybuchła płaczem, obejmowała go za szyję, gorącymi obsypywała pocałunki i łzami i wołała: „Nie, nie; ty nie opuścisz mnie; nie mogę; wolę umrzeć!" Daremne były wszelkie jego perswazye. Nie chciała słyszeć o niczem. „Co mi masz do zarzucenia?" Pytanie to wprawiło go w kłopot, nic bowiem jej nie miał do zarzucenia, prócz tego, że była jego metresą, zarzut, który z pomiędzy wszystkich ludzi na świecie jemu najmniej uczynić jej było wolno, i że była ubogą, co jednak wstyd mu było powiedzieć; i że była niewykształconą, co także nie mogło być wadą na seryo, ponieważ niewiadomość swoją wynagradzała dowcipem naturalnym i rozumem, jak niemniej wrodzoną dystynkcyą. Chciała uzasadnionych powodów, a on nie mógł jej dać innych, jak ten: „Ależ, kochane dziecko, wszak przyznasz, że teraz musimy się rozstać!" Lecz tego właśnie przyznać nie mogła—i płakała ciągle i mówiła niepocieszona: „Rudolfie, Rudolfie! nie opuszczaj mnie. Patrz, kocham cię i to przecież coś znaczy. Wszak ja niczego nie żądam od ciebie, tylko, żebyś mnie zawsze znosił przy sobie. Tak jak ja nikt już kochać ciebie nie będzie." Długo dosyć powtarzały się te sceny przykre nad wyraz, a Rudolf nie miał odwagi bohaterskiej ich zakończyć. Kiedy łzy Pauliny stawały mu się nieznośne, wychodził na miasto i godzinami błądził po ulicach, zasępiony, udręczony...

I owego trzeciego grudnia było tak samo i — — oto, dla czego nie pisał do niej i nie powrócił do swego mieszkania. Kula żołnierska była dlań przychylnem zrządzeniem losu, które wyswobodziło go ze wszystkich kłopotów. Po wyzdrowieniu literalnie uciekł z Paryża, pozostawiając nawet skromne ruchomości studenckie. Okoliczność ta uspakajała nieco jego sumienie. Aż do zbytku zaś powtarzał sobie, że nie został nie winien Paulinie, że ona go nie potrzebuje, że, jako charakter w gruncie przyzwoity, wzniosły nawet, nadal uczciwą będzie szła drogą. Pomimo to głos jakiś wewnętrzny odzywał się doń: „Tchórzu! tchórzu!" W takich razach jednak ratował się ruszaniem ramion i myślą, że kto inny na jego miejscu tak samo by postąpił i że ona prędko się pocieszy.

Tego oczywiście wyznać jej nie mógł, ale też nie było potrzeby. Wiedziała o wszystkiem.

Taką była podstawa, którą protestanci szwajcarscy wobec ataku na Genewę armii zbawienia przybrali. Nie łączyli się z nią, nie popierali jej, nie przyznawali się do niej — trzymali się na uboczu i ostrzyli do spożywania owoców. A i tu — policya zainterweniowala i szyki im popsuła. Przyprowadziło to ich do desperacyi, której wyrazem stał się główny protestantyzmu organ, *Journal de Genève*.

J. de G. uczynił wielką wrzawę w imię wolności. Stało się to w momencie obecnym modą w imię wolności wolność podważać i wywracać. Rząd genewski, usunąwszy źródło nieporządków z ulic miejskich, dopuścił się, wedle dziennika, zgwałcenia wolności sumienia, wolności wyznania, wolności słowa, wolności zgromadzeń i wolności przebywania cudzoziemców w metropolii nadlemańskiej. „Kto nami rządzi!“ — w oburzeniu świątobliwem woła monitor protestancki i ogłasza starannie wszelkie reklamacye, pochodzące od oficerów armii zbawienia.

Pomiędzy tymi oficerami najwięcej budzi interesu porucznik, miss Mand Charlesworth. postać podobniusieńka do tej, z której Daudet zrobił bohaterkę romansu p. t. *Ewangielistka*. Jak ta ostatnia matkę, tak ta ojca rzuciła dla „dzieła ewangielizacyi.“

Robota ta cała przedstawia się, jako dosyć dziwny w ucywilizowanym świecie objaw. Świadczy ona, że prądy średniowieczne nurtują jeszcze w łonie społeczeństw, przejawiając się tu pod firmą protestancką, ówdzie pod katolicką i zapożyczając u prądów nowoczesnych haseł i sposobów. Armia zbawienia jest nie czem innem, jeno prostą reklamą przemysłową, przeznaczoną do działania na imaginacyę. Przeznaczenie to widnieje w instrukcyi, ułożonej przez założyciela armii dla oficerów, a obejmującej przepisy szczegółowe podbijania miast, wsi, domów pojedynczych, werbowania zwolenników i zbierania pieniędzy. Zaleca ona szczególnie czynienie wrażenia za pomocą plakatów, odezw i wystąpień oryginalnych, za pomocą wystawiania naprzód płci niewieściej. W ostatnim tym punkcie wódz naczelny starł się ze św. Pawłem, który w jednem miejscu w listach swoich kobietom „kazać“ pozwala, w drugiem zabrania. W księgach świętych pełno sprzeczności tego rodzaju. Kościoły chrześciańskie przyjęły zakaz i nie dopuszczają kobiet do funkcyj kapłańskich. P. W. Booth wytłomaczył sprzeczność na korzyść pozwolenia i, zamianowawszy córkę własną marszałkiem, wysłał regimenty pod dowództwem jej na podbój miasta, na podbój, wyrażający się za pomocą przepisu: „Milcz i słuchaj!“ Bezwarunkowo zabronioną jest, tak w stosunku podwładnych do przełożonych, jako też w stosunkach członków armii z publicznością, dyskusya wszelka: instrukcya zaleca na zarzuty kłopotliwe odpowiadać nie inaczej, jak modlitwą lub hymnem, nie wdawać się z nikim w spory żadne, nie uważać na nikogo, iść przebojem śród hałasu, tumultów i skandalów (jak Barnum) i nie ustawać póty, póki będą nieprzyjaciele Boga do zwalczania i pokonywania a dusze ludzkie do zbawienia.“

Mamy więc wojnę.

T. T. Jeż.

Ryszard Wagner *).

Ojciec Wagnera był urzędnikiem policyjnym w Lipsku i umarł wkrótce po przyjściu na świat Ryszarda. Były to czasy Napoleona I. Właśnie w kilka miesięcy po urodzeniu się przyszłego reformatora opery, odbyła się wiekopomna, trzydniowa bitwa pod Lipskiem (1813); przez miasto przeciągały wojska i przyniosły zarazę, która przecięła życie starego Wagnera. Wdowa po nim wyszła za mąż za aktora Geyera i przeniosła się z nim i dziećmi do Drezna. Tam owiała całą rodzinę atmosfera teatralna: ojczym należał do teatru, a wkrótce i dwoje starszych dzieci jego żony poszło za jego przykładem. Ryszard słyszał od dzieciństwa dużo muzyki i rozmów o niej, o operach i teatrze wogóle; ale sam nie miał ochoty do grania i chociaż brał lekcye na fortepianie, wolał brząkać ze słyszenia, niżeli z nut. Naśladował jako tako uwerturę z *Freischütza*, ale porządnie nic nie grał, tak iż nauczyciel muzyki oświadczył, że z niego nic nie będzie. Tymczasem oddano go do szkół. Lecz i tam chłopak chętniej się brał do pisania wierszy, niżeli do studyów porządnych. Tłomaczył Odysseę, uczył się sam po angielsku, ażeby Shakespeara rozumieć i utworzył wielką tragedyę, zlepioną z wątków Hamleta i Leara, w której trupem padało na deski teatralne czterdziestu dwu ludzi, a pod koniec, dla braku osób, duchy ich rozwiązanie dramatu załatwiały.

Weber, zamieszkały wówczas w Dreznie, osobą swoją i *Freischützem* wywarł wielkie wrażenie na Wagnerze. „Nie chcę być ani królem, ani cesarzem, ale chcę jak on stać przed orkiestrą i wywijać laseczką,“ wołał w zachwyceniu; Mozarta *Don Żuana* nie rozumiał i nie lubił jego tekstu włoskiego.

Rodzina Geyerów przeprowadziła się znowu do Lipska; okazało się, że autor tragedyi o 42 trupach małe uczynił postępy w gimnazyum i musiał być zapisanym do tercyi; ale znowu nic nie pracował, tylko zachwycał się symfoniami Beethovena w Gewandhauzie i zamierzył, na wzór *Egmonta*, napisać tragedyę z muzyką. Dostawszy tedy na tydzień jakiś podręcznik generałbasu, postanowił zostać kompozytorem. Napisał tedy dużo rozmaitych utworów, chociaż na żadnym instrumencie porządnie grać nie umiał, ale za to widywał w snach na jawie uosobioną tonikę, tercyę i dominantę. Rodzina nie cieszyła się z tego kierunku szesnastoletniego już młodzieńca; ale, ustępując namiętności jego, dała mu porządnego nauczyciela muzyki. Lecz i z tym jakoś nie szło. Porządnie pracować z nim młodzieniec nie chciał, tylko tworzył a tworzył, aż doszedł, jak sam powiada, do szczytu niedorzeczności. Zagrano wielką jego jakąś uwerturę w Gewandhauzie: publiczność witała ją śmiechem ironii; ale znawcy mówili, że była

*) Dla dopełnienia krótkiej wzmianki o Wagnerze z nru 7 *Prawdy* pomieszczamy obszerniejszy jego życiorys, skreślony według L. Nohla, Musiker-Biographien, tom V: Wagner, Lipsk 1883.

Z uśmiechem melancholyjnym rzekła:

— Rozumiem, mój biedny Rudolfie, rozumiem. Rad byłeś, że pozbywasz się nieznośnej Pauliny. Kula oszczędziła ci pożegnania ze mną.

Chciała powiedzieć coś więcej, ale wszystko stłumiła w swem sercu. Nigdy mu nierobiła wyrzutów, miałaż to czynić teraz, w miejscu, które przez tyle lat uważała za grób jego?

Ujął jej rękę i ścisnął z całego serca. Żeby inny nadać kierunek nieprzyjemnej rozmowie, zapytał:

— Co robisz teraz, jak ci się wiedzie, Paulino?

— Dziękuję ci za pytanie.

W słowach tych nie było ani cienia ironii, ni goryczy tylko szczera wdzięczność.

— Wiedzie mi się bardzo dobrze, pracowałam, zdobyłam sobie niezależność, zatrudniam teraz ośm do dziesięciu robotnic, jestem zamożną, bogatą prawie.

W spojrzeniu jego odgadła pytanie, na które też prędko odpowiedziała:

— Zawsze, Rudolfie, zawsze pozostałam ci wierną. Nie brakło mi konkurentów— pojmujesz—nie chciałam. Wstydziłam się. I pragnęłam zachować w sercu wspomnienie tylko o tobie. Dziwi cię to? Może wcale nie wierzysz? Naturalnie. Bo też to naprawdę wcale niepodobnem jest do wiary. Nadskakuje się dziewczynie—Cóż to szkodzi?—a gdy się jej ma dosyta, zostawia się na koszu. A ona tak była głupią, prawdziwie kochała i nigdy już, nigdy pocieszyć się nie może.

Tym razem chciała zaoszczędzić goryczy. Usta jej zadrgały konwulsyjnie i zaszlochawszy zlekka, ręką powiodła ponad oczami. Nagle sięgnęła do swej kieszeni i wyjęła z niej starą książkę skórzaną, którą mu podała. Gdy zaś on w książce tej poznał ze wzruszeniem stary swój notatnik, a na pierwszej stronie odnalazł na pół wyblakłą karykaturę, którą kiedyś narysował mu był jeden z kolegów w szkole centralnej — ona z za gorsu wyciągnęła medalion emaliowany, otworzyła go i pokazała mu, co zawiera. Był to podarunek od niego, a wewnątrz pukiel blond jego włosów. Nie mógł się oprzeć popędowi — gwałtownie przycisnął ją do swej piersi, nie zważając na ludzi, co roili się wokoło.

— A więc wierzysz mi już? — spytała, wyrywając się z jego objęć.

Za całą odpowiedź podniósł jej rękę do swych ust.

Ona trzymała jego rękę.

— A ty, Rudolfie?

Mimowolnem poruszeniem usiłował uwolnić swą rękę. To skłoniło ją do bliższego przypatrzenia się jej. Na palcu nosił obrączkę ślubną.

Głębokie wydała westchnienie, wypuściła jego rękę, zamknęła oczy i zachwiała się na chwilę. Potem nagle padła na kolana, w tem samem miejscu, gdzie klęczała przedtem, a usta jej cichą rozpoczęły modlitwę.

— Paulino! zawołał tonem błagalnym.

Potrząsnęła z lekka głową, jakby chciała odpędzić widzenie i całkiem odwróciła się od niego.

— Paulino, wskaż mi przynajmniej twój adres! Niechcę znów tak rozstać się z tobą.

Pochyliła głowę na ręce, do modlitwy złożone i nie drgnęła, ani nie odpowiedziała.

Podszedł do niej bardzo blisko i oparł rękę na jej ramieniu. Niemiły dreszcz przebiegł widocznie po jej całem ciele i jeszcze głębiej głowę wsunęła pomiędzy ręce.

Zrozumiał ją...

Rozległ się pierwszy dzwonek, oznajmiający bliskie zamknięcie cmentarza. Rudolf szybko rzucił okiem ku bramie. Wchodzili właśnie tamtędy żona jego i szwagier, z któremi umówił się, że tu się zejdą i oglądali się za nim na wszystkie strony. Jeszcze raz spojrzał na klęczącą, a potem krokiem wolnym, niedosłyszalnym i niepewnym opuścił kląb kwiatowy. Jakby we śnie sunął po szerokiej alei. Doszedłszy prawie do bramy, zatrzymał się i odwrócił po raz ostatni.

Niebo na zachodzie oblewała zorza wieczorna. Z ponad wilgotnej ziemi unosiła się mgła lekka, zapełniając ścieżki cmentarne i zacierając kontury ludzi i pomników. Owinięta błędnemi wyziewami temi nieruchoma, czarna postać Pauliny coraz bardziej oddalała się od jasnego nieba i zdawała się zwolna rozpływać na tle zorzy płomienistej.

Rudolf widział, jakoby rozpraszającą się młodość własną i znikającą wpośród białych obłoczków mglistych.

Tłom. Ad. J. C.

w niej niejaka myśl poetyczna. W r. 1830 począł Wagner (bardzo zresztą nieregularnie) uczęszczać do uniwersytetu i odczuł gorąco rewolucyę lipcową. Nareszcie w kantorze szkoły św. Tomasza, Weinligu, znalazł się człowiek, który potrafił systematycznie pokierować wybuchy przedwczesnej twórczości Wagnera: w ciągu niespełna roku wtajemniczył go, ile się dało, w trudności kontrapunktu; to też żonie nauczyciela poświęcił młody kompozytor pierwsze swe dzieło, posiadające pewną wartość, oratoryum „Uczta apostołów.“ Wtedy też nauczył się cenić i wielbić Mozarta, a Beethovena umiał na pamięć i, jak sam powiada, zupełnie duchem z nim się zespolił.

Głównemi ogniskami muzykalności ówczesnej były Wiedeń i Paryż. Otóż w r. 1832 postanowił dziewiętnastoletni Wagner w pierwszem z tych miast próbować szczęścia; ale nic tam dla siebie nie znalazł. Tymczasem w Pradze i Lipsku grano jego symfonię, ale również bez powodzenia. Młodzieniec tem się nie zrażał; tworzył i tworzył, a jednocześnie hulał i zapalał się do idej politycznych ówczesnej „młodej Europy,“ które, jak najczęściej bywa, łączono z pewną skłonnością do potargania węzłów i „podpór“ nietylko państwowych, ale i społecznych: był to *nihilizm* ówczesny, jeżeli wolno użyć tego wyrazu, którym w tej lub innej formie zawsze i wszędzie przezywają prąd rewolucyjny. Jednocześnie ulegał Wagner wpływowi Webera i szukać zaczynał, jak on, w podaniach ludu wątków do dramatów muzycznych. *Wieszczki* (*Die Feen*, 1833) przedstawiają tekst tego rodzaju; występuje tu także w zarodku owo „wyzwolenie z zaklęcia przez miłość,“ które potem w Holendrze, Tanhäuserze, Parsifalu brzmi jako główny motyw i przeradza się w Schopenhauerowskie „wybawienie przez współczucie, przez litość.“ Tej opery nigdy nie grano. Publiczność wielbiła naówczas Belliniego, Adama, Herolda. Zdało się więc Wagnerowi, który bądź co bądź „wybić się na wierzch“ postanowił, że trzeba pochlebić zepsutemu smakowi, byle tylko dać się poznać. Pisze więc *Zakaz miłosny*, operę o treści drastycznej i dość swawolnej, naśladowanej z Shakespeara; pierwszy to utwór, który ujrzał i to tylko raz jeden światło sceny. Tymczasem autor zostaje kapelmistrzem teatru magdeburskiego (1834) i dyryguje na przedstawieniach lekkich francuskich oper, „z dziecinną czasem radością,“ jak sam powiada. Bez długiego też namysłu żeni się wkrótce z primadonną swojego teatru, panną Miną Planer, która, o ile była piękną, o tyle niższą natchnieniem i polotem od swojego małżonka.

Zdawało się mu, że scena niemiecka za ciasnem dlań była polem, marzył o Paryżu, ale nie miał za co dostać się do ziemi obiecanej. Trupa magdeburska rozproszyła się; w Królewcu również nie długo mógł Wagner posiedzieć.

Wezwano go do Rygi na kapelmistrza, a żonę na primadonnę. W tym też czasie *Rienzi*, romans Bulwera, rozognił wyobraźnię muzyka: pragnął on wcielić w przyszłą operę, osnutą na tle jego, wszystkie swe reformatorskie prądy: muzyczne, dramatyczne i polityczne; Heinego ballada o *Latającym Holendrze* również go pociągnęła ideą ofiary w imię miłości; przypomina też sobie, iż naówczas także *Józef w Egipcie* Mehula, naśladowcy Glücka, silne na nim wywarł wrażenie. Zabrał się więc do pracy nad *Rienzim*, marząc, że scena Wielkiej opery w Paryżu przyjmie ją uprzejmie.

Kończył się kontrakt ryski; widoków dalszego pobytu na północy nie było, Paryż nęcił; ale trzeba było długi opłacić, bo naówczas z Rosyi nie wypuszczano nikogo, kto nie przedstawił świadectwa o „niewinności“ nikomu. Wagner ratował się ucieczką; żonę pod cudzem nazwiskiem przewiózł mu przyjaciel, a sam przemknął się chyłkiem do Piławy, a stamtąd, mając Paryż na celu, okrętem, na Anglię, przypłynął do Boulogne-sur-mer, gdzie bawił wtedy Meyerbeer, król opery ówczesnej. Na morzu zbierał wątki do Holendra, a w Boulogne przedstawił się Meyerbeerowi. Ten go przyjął uprzejmie, oceniając wysokie uzdolnienie poetyczne i muzykalne, ale od Paryża odradzał. Pomimo to Wagner podążył do stolicy francuskiej. Poznał tam Heinego, który „dziwił się, spoglądając na młodego rodaka, przybywającego bez grosza, z żoną i ogromnym psem newfundlandzkim do nowego Babilonu.“

Trudne, pełne walki, zawodów i nędzy trzy lata spędził on w Paryżu (po r. 1842). Utrzymywał się z układania operetek na kornet i ze sprzedaży pomysłów i tekstów do oper (tak np. za 500 fr. ustąpił libretto do *Vaisseau phantome*). Pisał dużo do czasopism niemieckich i do *Gazette musicale*; nie oszczędzał przesądów muzycznych i dramatycznych francuzów, podnosił muzykę niemiecką, potępiał płytkość i formalizm francuskiej; nie przebaczał też i osobistościom: mieszał z błotem cały świat muzyczny ówczesnego Paryża, nie wyłączając właściwego mistrza swego, zacnego Berlioza i przyszłego teścia, Liszta. Ani *Rienzi*, ani *Holender* nie dostały się na scenę. Żółć i zgryzota, niedostatek, zawiedzione nadzieje, upokorzenia, straszliwa ambicya i niezmienna wiara w swą wyższość zatruły mu pobyt w Paryżu. Świtała nadzieja, że w Berlinie i Dreznie podwoje teatrów łatwiej przed nim się otworzą, niżeli zaklęte bramy Wielkiej Opery paryskiej. Zdawało mu się, „że duch niemiecki ma przeznaczenie wyzwolić ludzkość od hańby,“ którą Francya okrytą mu się zdawała. Puścił się więc znowu napowrót ku wschodowi, a powitawszy po raz pierwszy Ren gorącemi łzami, „zaprzysiągł, jak powiada, wieczną wierność ojczyźnie niemieckiej.“

Ojczyzna ta dobrze go przyjęła. W Dreznie mianowano go kapelmistrzem królewskim i oddano operę pod jego kierownictwo. Mógł tedy *Rienzego* i *Holendra* wystawić, i to z takimi śpiewakami, jak Schröder-Devrient i Tichatschek; mógł dążyć do podniesienia smaku publiczności i zastąpienia obcych utworów krajowymi Webera, Glücka, Marschnera, Spohra na scenie, a Beethovena i Bacha w sali koncertowej; za jego też staraniem przeniesiono do Niemiec zwłoki Webera z Londynu. Ale mimo to wszystko, ogół, przyzwyczajony do francuszczyzny i włoszczyzny w muzyce, powierzchownie i nieszczerze garnął się do muzy niemieckiej: *Holender* nie podobał się, *Tanhäusera* w Dreznie przyjęto zimno, a w Berlinie wcale nie przyjęto. I znowu gorycz i rozczarowanie przejmować zaczęły krewkiego reformatora. Świat polityczny napełniała wówczas duszna atmosfera, którą Trętowski tak trafnie nazwał „przedburzem.“ Były to lata 1845 i 1846. W duszy Wagnera kipiało tak samo, jak na świecie. Szukał on miłości, wskrzeszenia idealnej doby greckiej, gdzie sztuka nawskroś przejmowała życie codzienne, szukał sposobów zjednoczenia wszystkich czarów kunsztu w jednym potężnym obrazie, który nazywał „dramatem muzycznym;“ szukał wątków w czarodziejskich bajaniach ludowych, podkładał pod nie wymarzone swe ideały: odkupienia przez miłość, poświęcenia się dziewicy za grzesznego kochanka; koło tego ostatniego wątku snują się teksty prawie wszystkich jego oper. Kobieta, w oczach jego, to ofiara za wykroczenia mężczyzny. Czysto germański, pierwotny pogląd; bardzo łatwa teorya, usprawiedliwiająca rozpustę mężczyzn i lekceważenie kobiety. Niestety, piękna Mina niezdolna była przekonać swojego burzliwego małżonka o potrzebie i możności równouprawnienia rodu niewieściego! Jednakże wśród tego nieco chaotycznego parcia się ducha i łamania szranków tradycyjnych, uczcić trzeba w Wagnerze gorące uwielbienie dla Glücka za jego dążenie do prawdy w wyrazie muzycznym, za usiłowanie wcielania tego dążenia w własnych operach, oraz za umiłowanie ojczystych wątków legendowych. Owocem tego kierunku był także *Lohengrin*, napisany w r. 1847—1848, najpiękniejsza może ze wszystkich jego opera.

Po tę epokę sięgają wspomnienia Wagnera, spisane dla czasopisma, wydawanego przez Laubego. Dalsze chwile skreślił on w smutnych „Zapiskach dla przyjaciół,“ które ogłosił w r. 1851, już na wygnaniu.

Przebrany za woźnicę, musiał umykać Wagner z Drezna za nadejściem prusaków (1849). Osiadł nasamprzód w Zürichu i stamtąd ogłosił protest przeciwko obwinieniu rewolucyonistów o zamachy na sztukę. Dowodził w nim, że właśnie rządy demoralizują i umyślnie zacieśniają rozwój sztuk pięknych. W jednym z pamfletów tej epoki, mówiąc o przyszłym rozkwicie zjednoczonych kunsztów, użył wyrażenia "Das Kunstwerk der Zukunft;“ pochwycono je i przyczepiono do twórczości Wagnera, jako ironicznej niby „muzyki przyszłości“ (Zukunftsmusik). W tym też czasie ogłosił drukiem Wagner jadowity pamflet *Żydowszczyzna w muzyce*; pocisk ten głównie w Meyerbeera był wymierzony, w tego Meyerbeera, który go pierwszy ocenił w Boulogne, który go wspierał protekcyą i listami do dyrektorów oper w Dreznie i Berlinie.

Tymczasem nie dość oceniony i uszanowany w Paryżu, Liszt został kapelmistrzem w Weimarze; jeszcze przed rewolucyą wystawił on tam drezdeńskie opery Wagnera; obecnie, na uroczystość Göthego, dał usłyszeć po raz pierwszy *Lohengrina* (1851) i odtąd gorącym przyjacielem i zwolennikiem jego autora został. Wagner jednocześnie ogłosił swoje credo: *Oper und Drama*; przeprowadził tu myśl— nie nową zresztą, przez Glücka i Mozarta dawno już i świetnie urzeczywistnioną— o potrzebie ścisłego zespolenia wątku tekstowego z muzyką, o niedorzeczności chórów, duchów i wogóle jednoczesnego śpiewania kilku osób, o sztuczności zaokrąglonych aryj w dramacie itd. Po Lohengrinie, myśl jego szukała wątków w pieśni o Nibelungach. Bujała ona po przestworzu mitów i legend germańskich, snuła dziwaczne teorye mitologiczne, podkładała osobliwsze motywy etyczne i narodowe pod odwieczne bajania, szukała w symbolizowaniu cudzych i swoich bogów ratunku dla nieszczęśliwej ludzkości; owocem tej fantastycznej wędrówki był cykl oper na tle Nibelungów, który zarysował się w głowie Wagnera pod gościnnym dachem uprzejmych Wesendonków w Zurychu. Cyklowi temu niepodobna odmówić wzniosłości i uroku, jakkolwiek podkładane pod poezyę niby głębsze myśli etyczne, niby symboliczne sprężyny działania, dość nienaturalnie wyglądają, a mowa tekstu razi szorstkością i mistycyzmem. Tekst ten ogłosił Wagner r. 1863 dopiero, chociaż układał go od bardzo dawna. Marzeniem jego było, aby Nibelungi ukazały się nie na zwykłej scenie, lecz w umyślnie na to zbudowanym teatrze; urzeczywistniło się ono w lat kilkanaście, a powodzenie przeszło zapewne oczekiwania autora. Tymczasem w skromnym Zurychu rozwijał on swą działalność: nie mogąc własnych, wystawiał cudze opery, miewał odczyty, kształcił uczniów (pomiędzy innymi Hansa von Bülow, z którego żoną później się połączył), pisał, polemizował, wzywał artystów z Niemiec i przedstawiał im ustępy z dawnych i nowych swych kompozycyj, przyjmował Liszta i zachwycał się jego wykonywaniem Beethovena, wykończył muzykę do *Rheingoldu* i *Walkiry*,

wynajdywał „plastyczne motywy natury“ (owe sławne *numerowane* motywy smoka, szmeru leśnego, dzwonów, konnej jazdy, pieszczoty, pochlebstwa, pustyni itd.), pisał i marzył o zjednoczeniu tragiczności greckiej z religijnością nowożytną. Wycieczka do Londynu, dokąd go wezwano dla urządzenia koncertów towarzystwa filharmonicznego, przyniosła mu wiele przykrości polemicznych, ale też i powodzenie miała niepospolite. W r. 1856 zaproponowano mu, aby napisał nietrudną operę dla sceny w Karlsruhe; w krótkim czasie powstał utwór: *Trystan i Izolda*, a z nim nadzieja ujrzenia ojczyzny choć czasowo, która się jednak nie ziściła; to też w r. 1859 pisał Wagner do Berlioza, że jedynym jest niemcem, który *Trystana* nie słyszał. Ponowne starania o powrót do niemiec rozbiły się o upór dworu saskiego i Beusta; pozostawał mu znienawidzony i oczerniony Paryż: tam się Wagner udał w tymże 1859 r. Dał parę koncertów, złożonych z własnych utworów; miały one pewne powodzenie, jeżeli nie w prasie, to u części publiczności; gorące wstawienie się księżny Metternichowej wyjednało u Napoleona rozkaz wystawienia *Tannhäusera* w Wielkiej Operze. Główną rolę miał śpiewać sławny Niemann; Wagner puścił w świat francuski komentarz i przekład tekstów swych oper; nadeszła i upragniona amnestya (z wyłączeniem królestwa saskiego); wszystko zapowiadało zwrot pomyślny. Ale na pierwszem przedstawieniu (1861) *Tannhäusera* niemiłosiernie wygwizdano; po trzeciem nie było już i mowy o dalszych. Przegrana sprawa pociągnęła za sobą nietylko upokorzenie, ale i konieczność zapłacenia kosztów wystawienia opery. Szukając lepszego losu w ojczyznie, Wagner udał się do Wiednia; tam świetne przyjęcie *Lohengrina* wynagrodziło mu w części fiasco paryskie. Na czas krótki wrócił on jeszcze do Paryża i napisał wesołą średniowieczną operę *Meistersinger*, w której niepatentowany śpiewak bierze górę nad poetami z urzędu.

(D. n.)

Jan Karłowicz.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

Matuszewski *O ubiorach, strojach i modzie ze stanowiska kultury i estetyki.* — Prof. Sokołowski *O mecenasach sztuki i nauk za Zygmunta III.* — Prof. Kalicki *O Karolu Szajnosze.*

Jest to dziwną właściwością wielu naszych pisarzy, że okazują zbytek zamiłowania do sądów ogólnych, których trafne sformułowanie wymaga niemałej bystrości i siły myśli. W artykułach dziennikarskich, zarówno jak i w poważniejszych rozprawach, spotkać się u nas można bardzo często z nadmiarem teoretyzowania, gdyż niejeden słaby umysł wyrzuca z siebie z zadziwiającą szybkością pozbierany chaotycznie z różnych książek zapas frazesów i ogólników. Redaktorowie pism wiedzą dobrze z praktyki, ile to pod ich ołówkiem unicestwia się teoretycznej gadaniny, ile ginie pustego wielosłowia. Nie wdając się w bliższe wytłomaczenie tego zjawiska, zaznaczamy tylko, że p. Matuszewski, rozpoczynając obecny sezon prelekcyjny, wzorem wielu poprzedników wykazał nadmiar zamiłowania do „szarej teoryi.“ Prelegent nie posiłkował się prawda piankową frazeologią estetyki dawnej szkoły, nie deklamował górnolotnie o idealnem dążeniu do absolutu, ale owszem poglądy swoje oparł widocznie na podstawie Spencerowskiej teoryi istnienia możliwości pewnych popędów w ludzkiej naturze; popadł jednak w widoczną jednostronność, twierdząc, że główną przyczyną powstania stroju nie jest instynkt zachowawczy, ani zabezpieczenie się od wpływów natury, ale sama chęć ozdoby, która stanowi jakoby zasadniczą cechę różniącą człowieka od zwierząt, jakkolwiek najnowsze badania przyrodnicze do innego pod tym względem doprowadziły rezultatu, tłomacząc powstawanie ozdób zewnętrznych w wielu gatunkach za pomocą walki o byt. Po ogólno-estetycznym wstępie prelegent prowadził dalej rzecz o ubiorach i modzie także w szeregu ogólnikowych sądów, jakkolwiek jest to przedmiot opracowany z pewną ścisłością przez wielu estetyków i archeologów. Wogóle czuć było, że p. M. starał się głębiej myśleć nad przedmiotem, ale pominął wiele najważniejszych stron tematu, nie wytłomaczył np. dlaczego strój klasyczny jest arcytypem plastyki ubioru, jaki wpływ wywarło na nowożytną modę demokratyczne zrównanie obyczajów itd. Dość szeroko rozprawiał za to o cechach narodowości w stroju, nie objaśniwszy, jak się one urabiają, mówił o strojach, przybierających charakter kosmopolityczny dzięki wyższości kultury społeczeństwa, które narzuca je innym, o najnowszych zmianach mody oraz o jej wpływie na zniesienie różnic obyczajowych i zakończył szeregiem poglądów satyrycznych na modę niewieścią.

W tej ostatniej części odczytu nie brakło ironicznej werwy, humoru oraz pieprznych aluzyj do pewnych zboczeń i nałogów kobiecego modnisiowstwa. Nie sprzeczamy się z prelegentem o różne szczegóły jego sądów w przedmiocie toalety niewieściej, ale przyznajemy chętnie, że ten fejletonowy epilog odczytu był szczęśliwszy, aniżeli jego reszta, przepełniona ciężką, wodnistą teoryą.

Nie uniknął także na wstępie frazeologii drugi prelegent, członek akademii krakowskiej, dr. Sokołowski, który, rzecz dziwna, stanąwszy na katedrze w Warszawie nie starał się rozpościerać dokoła siebie stańczykowskiego *odoris sanctitatis.* Mówił o mecenasach nauki i sztuki za Zygmunta I. poprzedziwszy specyalną treść wykładu kilkoma sądami o powolnym rozwoju naszej kultury literackiej i estetycznej, które nie imponowały świetnością, ani trafnością. Usprawiedliwienie zaś serwilizmu niektórych pisarzy wobec ich protektorów świadczyło, że prelegent jest pobłażliwym w ocenie moralnej wartości działaczów pióra. Niewątpliwą zasługą był sam pomysł przedstawienia w odczycie rozwoju kultury i piśmiennictwa danej epoki w ich ścisłym związku z ukształtowaniem się stosunków politycznych. Szkic zarysowany był bardzo dobrze, ale wykonanie jego dość pospolite, pomimo pewnej staranności i jasnego przedstawienia wielu faktów. Prelegent w ciągu całego opowiadania nie okazał tendencyjnych zacięcianek, nie sympatyzował ani ze stronnictwem dworskiem, ani z opozycyą szlachecko-oligarchiczną, na czele której stał wielki kanclerz koronny, najpotężniejszy wróg ukoronowanego Wazy. Ta bezstronna przedmiotowość zadziwiła nas w pisarzu szkoły krakowskiej, który nawet, wbrew gromom miejscowych Cyceronów, ośmielił się rzucić słowo wdzięcznej pamięci na mogiłę Acerna. Pomimo bezkrwistości, pomimo kilku faktycznych usterek, odczyt ten w każdym razie dał słuchaczom wiązkę uszeregowanych wiadomości i trafną charakterystykę ważniejszych działaczów owej epoki i dlatego opłacił się niewątpliwym pożytkiem.

Bardzo uproszczone zadanie ma sprawozdawca z odczytu prof. Kalickiego o Karolu Szajnosze. Porządnie opowiedziana biografia, a po niej kilkadziesiąt ogólnych frazesów o talencie i stanowisku pisarza wobec dawniej istniejących szkół i typów historyograficznych — oto była całość tej gawędki, w której p. K. usilnie starał się wspomnieć o tem, że jest profesorem uniwersytetu a nie rozdawcą gimnazyalnej mądrości. Spierać się z prelegentem nie ma o co, chyba tylko należy mu zrobić skromną uwagę, że pominął zupełnie charakterystykę dzieł pisarza, których zaledwie nazwy błąkały się w jego sennie prowadzonej pogadance, jakkolwiek charakterystyka ta, według zwyczajnego pojmowania rzeczy, winna być głównym rdzeniem wykładu o każdym znakomitym pisarzu.

Nakoniec do podziału między dotychczasowych i następnych prelegentów dodajemy słowo wdzięczności, że podtrzymują nić publicznych wykładów polskich.

K. B.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Frycz Modrzewski. **O poprawie Rzeczypospolitej.** Lwów. Księgarnia Polska A. D. Bartoszewicza i M. Biernackiego. (Bibl. Mrówki t. 156—160).

„Wszyscy niemal insi narodowie Frycza naszego i księgi jego znają, wielce ważą, przez listy z dalekich stron zalecają, prace jego na swe języki tłomaczą, o nich się z pilnością pytają, a my zaś tak zacnego męża, między nami się aż do śmierci bawiącego, ledwo imię znamy i prace jego za nic sobie ważymy.“ Tak pisał w r. 1577 Szymon Budny w przedmowie do polskiego przekładu dzieła Modrzewskiego: *De Republica emendanda.* Że miał słuszność, wskazuje już samo tak późne ukazanie się w polskim przekładzie najznakomitszego w politycznej literaturze naszej traktatu. Bo gdy *Komentarze o poprawie Rzeczypospolitej* jeszcze za życia swego twórcy doczekały się za granicą przekładu na język francuski, niemiecki i częściowo hiszpański, gdy w ówczesnym świecie naukowym niekłamane uwielbienie wzbudziły, gdy królowie: czeski Maksymilian i angielski Henryk VIII usilnie o posiadanie ich się dobijali i chętnie je czytywali — w ojczyznie autora nienawiść i złość wielu przeciw niemu wzbudziły i niezasłużone gromy nań sprowadziły, tak iż za życia nie doczekał zwego dzieła w tłomaczeniu na język ojczysty. Dopiero w pięć lat po śmierci Frycza dokonał przekładu Cypryan Bazylik i nakładem wojewody połockiego Mikołaja Mouwida Dorohostajskiego, a przy współudziale Szymona Budnego, Andrzeja Wolana i Macieja Stryjkowskiego w r. 1577 w Łosku w drukarni Jana Kiszki drukiem ogłosił. Był to przekład niezupełny, obejmował bowiem tylko cztery księgi traktatu: o obyczajach, o prawach, o wojnie i o szkole, wraz z dodatkiem do ksiąg o poprawie; księga zaś „o kościele“ (zapewne skutkiem przeszkód ze strony cenzury duchownej) została opuszczoną.

Następnie, gdy zagranica nieustannie, bądź zbiorowo, bądź częściowo, wydaje dzieła Modrzewskiego, gdy Hugo Grotius i Bayle szeroko przed światem głoszącego zasługi, w Polsce prawie przez dwa wieki o nim milczą; gdy w czasach jezuityzmu i nietolerancyi na tytułowych kartach dzieł Frycza pojawia się ów złowrogi napis, który do dziś jeszcze na nich się przechował: „liber prohibitus primae classis,“ było to dostatecznem, aby go na zapomnienie u rodaków skazać. Dopiero, gdy w końcu XVIII wieku humanitarny prąd powiał na nas z zachodu, gdy wychowaniem młodzieży zawładnęli Pijarzy, wydostano z zapomnienia pisma Modrzewskiego i w roku 1770 z drukarni X. X. Scholarum Piarum ukazuje się przedruk przekładu Bazylika. W dodanej do tego wydania świetnie napisanej przedmowie po raz

pierwszy w piśmiennictwie polskiem oddano należny hołd zasługom Frycza i należycie ocenić go umiano.

Nakoniec, gdy w 70 lat później Turowski w swej *Bibliotece polskiej* zamierzył wydać główniejsze twory piśmiennictwa naszego, między innymi powtórzył przekład Bazylika.

Tak więc, przekład ten, aż trzech doczekawszy się wydań, nie stanowi rzadkości bibliograficznej, i jestem pewny, że każdy, więcej po nad zwykłą miarę interesujący się literaturą ojczystą, posiada go w swym księgozbiorze.

Inaczej jednak sądził wydawca *Biblioteki Mrówki*, skoro w niej pomieścił (czwarty z kolei) przedruk tłomaczenia Bazylika. Zdawałoby się, iż przystępując do wydania rzeczy, którą już po kilka razy tłoczono, powinienby się nakładca postarać, jeśli już nie o to, aby jego wydanie pod względem wartości wewnętrznej przewyższało poprzednie, to przynajmniej, aby się pozbyło ich stron ujemnych, zachowało wszystkie ich cechy dodatnie, a głównie, aby w zupełności było zgodne z oryginałem.

Porównawszy jednakże edycyę Mrówki z poprzedniemi, doznajemy zupełnego pod tym względem zawodu.

Przedewszystkiem przepuszczone są wiersze łacińskie Szymona Budnego i Klemensa Granulla, oraz piękny wiersz polski Macieja Stryjkowskiego na cześć nakładcy napisany, a podający obok tego nadzwyczaj trafną charakterystykę dzieła Modrzewskiego. Temuż losowi uległy w przedruku łacińska przedmowa Wolana i polska — Budnego. Wszystkie te rzeczy są umieszczone na czele przekładu Bazylika z r. 1577 i nieposlednią dla życiorysu Modrzewskiego mają wartość, co już Małecki w swej monografii o Fryczu zaznaczył, a wydawca powinien byłby do niej zajrzeć, zanim do wydawnictwa przystąpił. Następnie, co trudnem jest do zrozumienia, opuszczono wszelkie cytaty, jakie Modrzewski w swem dziele poczynił, a Bazylik w przekładzie wiernie zachował. Jest to niewłaściwe, boć cytaty podnoszą znacznie traktatu Frycza i kładą nań piętno naukowe.

Przeznaczając widocznie książkę dla szerszych kół, wydawca nie objaśnia przypiskami wyrazów storopolskich (*lepak, pry* i innych), dziś już usuniętych z użycia i dla większości niezrozumiałych, a powinien był to uczynić, bo przedrukowywał z Turowskiego, który objaśnienia owe podał. Nie zaopatrzył też nowy nakładca swego przedruku w „Rejestr ksiąg, rozdziałów i materyi w nich zawierającej się,“ który Pijarzy do swego wydania dodali. Zakreśliwszy sobie plan pracy i podzieliwszy ją na pięć części: o obyczajach, o prawach, o wojnie, o kościele i o szkole, Modrzewski nie wyłożył swych poglądów systematycznie i wiele ustępów w jego pracy dałoby się przenieść np. z księgi o obyczajach do księgi o prawach i odwrotnie. Spis więc, który *Biblioteka Mrówki* w przedruku zamieściła, objaśniający jedynie, na której stronicy każda księga się zaczyna, stanowi właściwie część składową tytułu, niczego czytelnika nie nauczy i żadnej przysługi mu nie odda, gdy tymczasem rejestr rozdziałów i materyi znacznie ułatwiłby oryentowanie się. Obok tego brak wszelkiej przedmowy, wszelkiej informacyi o życiu i pismach autora, a nawet wzmianki, że to wydanie nie jest oryginalnem dziełem Modrzewskiego, lecz tylko przekładem, nadają mu jakiś nieokreślony, oderwany od reszty piśmiennictwa charakter.

Wogóle widocznem jest, że nakładca ani oryginału przekładu Bazylika, ani jego przedruku z r. 1770 pod ręką nie miał, lecz, posiłkując się wyłącznie wydaniem Turowskiego, które w rzędzie trzech pod względem wartości stanowczo zajmuje miejsce, poodrzucał z niego bardzo pożyteczne dodatki, a resztę dokładnie powtórzył. Tym sposobem ani piśmiennictwu nic wartościowego nie przysporzył, ani ogółowi czytającemu się nie przysłużył. Jedyną zasługą jest chyba to, iż wydaniem swem pisarza tak niegdyś zagranicą chwalonego a u nas zapomnianego dzisiejszym pokoleniom przypomniał.

E. Dylewski.

Kronika rosyjska.

Petersburg, luty.

Słówko o stosunku Jeża do młodzieży. — Hołd młodzieży petersburskiej. — Wydawnictwo Imienia T. T. Jeża. — Dwa inne wydawnictwa studentów. — Historyografia rosyjska i nasz obowiązek wobec innych słowian. — Pogrzeb Mielnikowa (Andreja Peczerskiego) czyli sposób nagradzania zasług publicznych. — Oryginalna zapowiedź klasycznej tragedyi. — „Krasawiec mużczina“ i pseudorealizm. — „Medea“, i pseudoklasycyzm.

Koło młodzieży naszej w Petersburgu wydało na cześć Jeża przekład *Szkiców filozoficznych* Herberta Spencera. Wydawnictwo to, którego tom pierwszy świeżo wyszedł, powstało z prenumeraty, na co zebrano około 600 podpisów wyłącznie młodzieży. Tłomaczenia dokonało kilku jej członków. Wreszcie dodajmy, że cały nakład jest już wyczerpany i słyszymy zachętę do powtórzenia go. Tom następny zawierać będzie dalsze szkice Spencera, z których kilka jest już gotowych, w lepszem niż dotychczasowe tłomaczeniu, udział bowiem w tej pracy wzięli, oprócz petersburskich, studenci warszawscy, władający językiem ojczystym lepiej.

Wybór dzieła jest poniekąd wyrazem kierunku myślenia młodzieży. Mówią o nim też inne objawy. Nakładem również prenumeratorów-studentów wyszedł przekład rozprawy H. Taine'a *Filozofia pozytywna w Anglii, studyum nad Stuartem Millem*. Jest to robota byłego słuchacza politechniki ryskiej. Obie książki odbite są w Warszawie. Oprócz nich studenci instytutu puławskiego powzięli zamiar wydania w przekładzie polskim jednego z dzieł młodego rosyjskiego ekonomisty, profesora moskiewsko-piotrowskiej Akademii, o którem w swoim czasie pisaliśmy.

Śmierć Szujskiego i Maciejowskiego oraz ukazanie się wydawnictwa dr. Prochaski p. t. *Codex epistolaris Vitoldi* przedstawia materyał, z którego nie omieszkają zrobić użytku rosyjscy publicyści i historycy. Kodeks Witolda był już przedmiotem sprawozdań i rozpraw w towarzystwie filologicznem, którego członkowie, ludzie pewnej znanej barwy, zacinają wargi na widok niefałszowanych poglądów. Między innemi prof. Łamański radby unicestwić świadectwa epistolarne, stwierdzające byt intryg w. mistrza w porozumieniu się z cesarzem Zygmuntem, jak również wyświetlające nienawiść Witolda dla husytów. Jego zdaniem Witold udawał politycznie, że jest ich wrogiem itd.—opozycya znana!

Raz po raz mamy przykłady dowolnego, często całkiem fantastycznego przekształcania faktów, czego dopuszczają się pierwszorzędne tutejsze powagi. Wspomnieliśmy o Łamańskim, to samo możemy powiedzieć o występie ostatnim Kojałowicza (w roli oponenta obrony magistrowskiej Płatona Żukowicza).

Co byście powiedzieli, gdyby kto, po echach hołdu, oddanego zasługom Jeża, albo pamięci Szujskiego, przeczytał wam następujący urywek korespondencyi o pogrzebie zasłużonego pisarza Andrzeja Peczerskiego (pseudonym). „P. J. Mielnikow — pisze korespondent z Niż. Nowogrodu — zmarł 13 lutego, ale dopiero 20 odbył się pogrzeb. *Oczekiwano* literatów ze stolicy oraz przyjaciół zmarłego, dla tego też odkładano. *Oczekiwania* spełzły na niczem, nikt nie przyjechał: ani literaci, którzy byli w najbliższych ze zmarłym stosunkach, by oddać ostatnią posługę najbardziej utalentowanemu współpracownikowi *Russkiego Wiestnika*, zwłaszcza, że 15 godzin jazdy z Moskwy do N. Nowogrodu koleją nie sprawiłoby nadzwyczajnego strudzenia. Tak więc prasa stolicy, a nawet ten organ, którego zmarły był stałym członkiem, nie oddał ostatniej posługi jednemu z najlepszych pisarzy spółczesnych, autorowi znanych na całą Rosyę *W lasach* i *Na górach* i ograniczył się kilkoma wierszami króciutkiego nekrologu.

Pogrzeb znakomitego pisarza odbył się stokroć skromniej, niż spodziewaliśmy się.“

Wymowny obrazek hołdu, oddanego pracy publicznej przez jej arcykapłanów! A czytelnicy *Prawdy* mogli ocenić wartość dzieł zmarłego z recenzyi, którą podaliśmy w pierwszym roczniku z okazyi pojawienia się w osobnem wydaniu czterotomowych szkiców p. n. *Na górach*. Są to, jak wiadomo, studya etnograficzne w formie powieści, nieporównane pod względem formy i pełne pouczających szczegółów. Cała ta kopalnia literacka przeszła przez ręce Katkowa, redaktora znanego dziennika i wspomnianego miesięcznika. *Sic transit gloria mundi*!

Drugie *enfant terrible* rosyjskiej prasy p. Suworin z nieodstępnym towarzyszem, sekretarzem *Now. Wremieni*, wydaje na świat dramat klasyczny p. t. *Medea*. Na kilka dni przed pierwszemjej przedstawieniem w innym wielkim dzienniku czytamy: „Dzisiaj pp. Suworin i Burenin według wszelkich przepisów sztuki reklamują w *N. Wr.* utwór swój *Medea*, mający ukazać się w niedzielę na scenie Aleksandrowskiego teatru. Środek zręczny, ale wytarty i zbeszczeszczony... Jeżeli pp. S. i B. uznają za właściwe propagować powodzenie swojego utworu przed ukazaniem go publiczności i pisać o nim w swojej gazecie, to my radzimy każdemu, kogo obchodzi postęp sceny rosyjskiej, być nie na pierwszem przedstawieniu *Medei*, kiedy będzie urządzona w największym rozmiarze klaka, ale na trzeciem albo na czwartem, a przytem w dzień powszedni, kiedy robotnicy zakładów *N. Wr.* będą przy robocie.“

Przypatrzmy się faktowi z innej strony. Teatr rosyjski, jak słusznie mówi krytyk, zeszedł z małymi wyjątkami na najniższy poziom wymagań; pod hasłem pseudorealizmu komedya znalazła się w takiej dziurze moralnej, gdzie prawdziwie trudno jest oddychać. Dla potwierdzenia słów powyższych moglibyśmy powołać się na pierwszego z żyjących komedyopisarzów Ostrowskiego, którego ostatni utwór *Krasawiec mużczina* jest obrazem wstrętnych obyczajów w dziedzinie wyrachowan matrymonialnych i jeżeli nie pod względem formy, to treści należy bezwarunkowo zaliczyć do płodów muzy pseudo-realistycznej. Wyobraźcie sobie bogatą kobietę, która wzięła „ślicznego chłopca“ na męża dla tego tylko, że śliczny, a za to zadłużony po uszy mężczyzna sprowadza ją na najniższy szczebel opinii, ponieważ potrzebne mu to do pogoni za nowym posagiem. Komedya ta, którą ciekawi znajdą w styczniowym zeszycie *Otieczestwiennych Zapisek*, ukazała się na scenie tej samej, co *Medea* i, pomimo powodzenia, może być zaliczona do płodów muzy krajowej niższego gatunku. Z takich, jeżeli nie powiemy chorobliwych, to jednostronnych objawów, pp. Suworin i Burenin pragnęli wyprowadzić scenę petersburską. Czy dopięli celu?

O ile rzucili myśl w tym kierunku, zyskali sobie istotnie tytuł zasługi. Co zaś do ich dzieła, do *Medei* — to jednogłośnem zdaniem krytyki nie stanęli na wyżynie głównego i najważniejszego wymagania, gdyż brak ich pracy twórczości.

W masie nędznych tłomaczeń i nędznych przeróbek kompilacya pp. B. i S. stanowi nabytek pierwszorzędny; autorowie sami w przedmowie wyznają, że posługiwali się Eurypidesem, a od niego zacząwszy, wszystkimi późniejszymi naśladowcami. Wziąwszy materyał cudzy autorowie dodali do niego niektóre szczegóły, między innemi filozofa-rezonera Filokteta i usiłowali przebojem ukazać obraz klasyczny w świetle spółczesnem, co wprowadziło ich na pole kwestyi obowiązków rodziców dla dzieci i stosunków małżeńskich. Dramat zaczyna się w chwili, kiedy Medea spotyka Jazona w Koryncie przy boku drugiej oblubienicy. Medea — zapomniana. Pod wpływem męczarni na widok współzawodniczki, Kruzy, błaga zrazu tę ostatnię, później Jazona, ale odepchnięta, przetrawia w sobie uczucia miłości i zamienia je na nienawiść. Dalszy ciąg ukazuje ją jako mścicielkę praw kobiety, nieustraszoną i nieznającą granic. Otruła Kruzę, spaliła pałac jej ojca, króla Koryntu, zabiła własne dzieci, uciekając i chroniąc je przed pogonią występnego ojca, wreszcie sama umiera. Potęga demoniczna tej kobiety przeraża i zdumiewa czytelnika. Posiadając świetne pierwowzory, rosyjscy autorowie wydobyli również wiele silnych wrażeń; ale przykrawając je do spółczesnego otoczenia, nadali piętno doktrynerskie, które czyni z *Medei* niezgorszy owoc pseudoklasycyzmu. Bądź co bądź ten objaw zwrotu do mistrzów starożytnych należy poczytać za pożądany i niezwykły, zwłaszcza, że wychodzi z rąk, które jeżeli dotąd były klasyczne, to tylko..

Samo.

NIEPRAWDA.

> Szczery wyznawca prawdy zwraca oczy tylko na swoją przewodniczkę i nie troszczy się o to, dokąd go ona zawiedzie, jeśli tylko ona go prowadzi.
>
> *Burke.*

Tygodnik Ilustrowany wystąpił z radą, ażeby spory dziennikarskie ochłonęły z dotychczasowej namiętności i nie zwracały się do *osób*, ale do *rzeczy*. Rada ta podobała się szczególnie *Kuryerowi Warszawskiemu*, który, powtórzywszy ją, dla dania dobrego przykładu z siebie, uderzył na... A. Świętochowskiego. Nie dziwmy się: „fern von Menschen wachsen Grundsätze, unter ihnen Handlungen.“ Wino możesz pić, abyś tylko wodę innym zalecał.

„Gdyby czynić — powiada Szekspir — było tak łatwem, jak wiedzieć, co czynić należy, wszystkie kaplice stałyby się kościołami a chaty ubogich — zamkami.“ Połowa ludzi krzyczy: łapaj! ażeby sami swobodnie ujść mogli. Dla czegóż więc *Kuryer Warsz.* nie miał użyć tej wypróbowanej metody? Mówiono nam, że istnieje tajemne sprzysiężenie przeciwko *Prawdzie* i że p. W. Szymanowski wyciągnął los do wykonania zamachu na życie jej redaktora. Nie wierzymy temu dowcipnemu żartowi. P. W. Szymanowski od lat wielu trudni się reprezentacyą prasy warszawskiej: w jej imieniu składa wieńce zmarłym, podaje bukiety artystkom, przesyła telegramy zbiorowe, przemawia na kongresach literackich itd. Uważa się za urzędnika narodowego do szczególnych poruczeń, za męża od ważnych chwil „w życiu jednostek i narodów,“ za polskiego Jubala, którego „dzieci Lamecha kiedyś obsiędą“ a gdy z jego

> „pieśnią przed Panem upadną,
> To raju stróżowi miecz z ognia wykradną,
> Na ziemi wygnania usłyszą wołania
> „Zwijajcie namioty podróżne!“

Naturalnie, jeżeli Jubal jest tak dalece gotów do poprowadzenia przed Pana wszystkich synów Lamecha, z tem większem poświęceniem staje on w obronie swej rzeszy. Ile razy korsarską łódź *Kuryera Warszawskiego* ktoś napadnięty poturbuje, w rozpaczliwej chwili zjawia się W. Szymanowski z dobytym mieczem i przeciąwszy nim wszystkie węzły sporne, rzuca go dumnie na szalę sądu. Zdaje mu się wtedy, że dwa te nader leciuchne wyrazy *Wacław Szymanowski* zdolne są przeważyć kulę ziemską. Interesowani i nieinteresowani świadkowie tej parady zdziecinniałego pisarza śmieją się z niej głośno lub cicho, po czem on dumnie cofa się w Kuryerowe chmury. I oto widzimy go znowu na ziemi, jak zasłania ramieniem swego współpracownika, świeżo sprowadzonego z Galicyi c. k. patryotę (tertio voto) i wznosi miecz nad głową Świętochowskiego.

Prawda jest własnością nie tylko naszą, ale i wszystkich abonentów, którzy mają prawo wymagać, ażeby w niej brzmiało coś pożyteczniejszego, niż strzały pojedynków osobistych. Z tego powodu prosimy ich o ustąpienie nam wyjątkowo nieco miejsca na ten cel, zwłaszcza, że będziemy mieli sposobność zajrzeć do najświeższego kwiatu rzetelności dziennikarskiej i wydobyć z niego robaczka, który w nim najczęściej się lęgnie.

P. Szymanowski, jako człowiek „sprawiedliwszy“ i rzeczywiście wspaniałomyślny przyznaje mi aż trzy przymioty: inteligencyę, talent i wykształcenie, ale — powiada — „p. Świętochowski zużywa te dary przeciw wszystkim i wszystkiemu, co się nie zgadza z jego systematem, który za nieomylny przyjął i takim go głosi... Jeżeli kocha, to tylko negacyę... Nabyte wykształcenie obrócił na zasady systematu burzenia, wmówił w siebie, że słowo drukowane datuje się dopiero od pojawienia się jego w arenie piśmiennictwa. Zamknięty w gabinecie tworzy systematy polityczne... nowe i niewypróbowane jeszcze teorye z gruntu filozoficznego chce przelać w praktyczne życie, innym je narzucając.“ Gdyby p. Szymanowski był cokolwiek wprawny w logiczne myślenie, przeczytawszy tu zestawione własne swoje słowa, powiedziałby sobie: w tem, co napisałem niema sensu, bo 1) każde zdanie, nawet to, że Szymanowski reprezentuje literaturę polską, jest cząstkowem lub całkowitem zaprzeczeniem wszystkich zdań odmiennych, ktokolwiek zatem cokolwiek mówi jednocześnie twierdzi i przeczy, czystych twierdzeń i czystych przeczeń logika nie zna; 2) skoro jakiś pisarz wierzy w pewien systemat i stara się pewne „teorye przelać w życie praktyczne,“ to chyba nie tylko „burzy,“ ale także buduje.

Gdyby zaś p. Szymanowski obliczył się ściśle ze swojem sumieniem literackiem, doszedłby do wniosku, że ów Świętochowski uszanował niejednokrotnie ludzi najsprzeczniejszych z nim przekonań, że *Prawda* w sądzeniu prac literackich zachowuje możliwą przedmiotowość, że jej krytyka nie jest baniecznikiem do nacinania skóry autorom starannie ukrytymi nożykami osobistych zawiści. Ale p. Szymanowski nie umie ani ściśle myśleć, ani rzetelnie z przeciwnikami się obrachowywać, a przynajmniej oba te przymioty zachowuje nie dla nas. Jemu się zdaje, że gdy sypnie garść pustych słów, jak: przeczenie, burzenie, narzucanie się i t. d., że przez to jakąś prawdę powiedział, lub kogoś scharakteryzował. Zapomina o tem, że on także jest „przecznikiem,“ burzycielem, że również narzuca się szerokiemu kołu umysłów, których kierunek od jego stanowiska odbiega. Chcąc być groźnym staje się przesadnym, redukuje cały naród do dwu ludzi, z których jeden wyobraża tylko siebie, a drugi — całą kilkunastomilionową resztę. I tym właśnie „nieobcym społeczności,“ „wtajemniczonym w życie“ ma być on. W przeciwniku nie widzi człowieka, który ma równouprawnione moralnie i naukowo z innemi przekonania, cele, uczucia, ale dziwotwora, który jest pomyłką natury, bo nie został stworzony na obraz i podobieństwo jego. Wygląda on jak paw, który spoglądając na swoje pióra, powiada wzgardliwie o ludziach: potworne istoty— bez ogona!

Według p. Szymanowskiego my winniśmy wprowadzenia brutalnych wyrażeń, „kalających godność prasy, która unikała ich aż do czasu pojawienia się w niej nowych prądów.“ Biedna ta prasa, zachowywała ona swoją godność, choć jej kapłani polemizowali z sobą kijami na ulicy a w dziennikach i sądach (Lwów) procesowali się o skradzione zegarki— dopiero myśmy ją skazili! Przed kilku laty jeden z redaktorów warszawskich stał się mimowiednym i mimowolnym wspólnikiem oszustwa na kolei; *Kuryer Warszawski* dla zachowania „godności“ prasy opisał go jako świadomego przestępcę — co mu nie przeszkadzało potem zaprosić go do współpracownictwa. Gdy *Nowiny* po śmierci Wójcickiego zredukowały jego znaczenie do właściwej miary, tenże *Kuryer Warszawski* zelżył je uwagą, że „nad grobem człowiek płacze a *inne zwierzę*... ryje.“ I wszystko to działo się przed przyjściem na świat *Prawdy*. Gdy nareszcie wydano *Ognisko* dla uczczenia znakomitego pisarza, książkę, zawierającą 30 arkuszy druku i 20 prac, tenże *Kuryer Warszawski* nic w niej nie dostrzegł, tylko... usprawiedliwienie łapówki Kamińskiego, a na obronę swej obserwacyi użył tylko... „szaflika.“ To jest wasza przyzwoitość, wasza godność! Gdybyśmy zresztą przyznali, że jakikolwiek organ lub autor postępowy częściej wyraża się jaskrawo, to nie ulega wątpliwości, że pewne pisma konserwatywne, gładkie *in forma*, przeszły najdalszą granicę ohydnego brutalstwa *in re*. Niema sromotnego zarzutu, niema niegodziwej insynuacyi, przed którą by one cofnęły się w walce, i dla tego niema dość silnego wyrazu dla napiętnowania takiej krytyki. Tu właśnie *liegt der Hund begraben* i tu jest różnica „skażenia.“ Postępowcy atakują tylko umysłową stronę przeciwników, procarzo konserwatyści — tylko moralną i patryotyczną. O nich to powiedzieć można z Heinem, że „zawsze religią, zawsze moralnością, zawsze patryotyzmem liche subjekty upiększają swoje napaści.“ Postępowiec powie, że ktoś jest głupi, „grzeczny“ konserwatysta wyrazi się przyzwoiciej, że „p. X lub Y nie uznaje Boga ojców i w swych modlitwach obraca się ku wschodowi.“ Z dwu gatunków ludzkich lepszym podobno jest rubaszny rębacz, niż grzeczny potwarca. Nawet p. Szymanowski, który widocznie usiłuje być wstrzemięźliwym, powiada: „Stworzył on (Świętochowski) szkołę, która *nie przebiera w środkach, byleby* do celu doprowadziły. *Wszystko mu jest dobre.*“ Proszę taką niecnotę odeprzeć — „grzecznie.“

„On także (tj. ja) i jego prozelici — powiada p. Sz. — wprowadzili *niebywały* dotąd, nietylko u nas, ale *we wszystkich literaturach europejskich* zwyczaj odpowiadania sążnistymi artykułami na wszelkie krytyki, podające rozbiór nowych ich utworów. Autorowi godziło się dotychczas odpowiadać, ale *tylko w kwestyi zasad*, na niej się ściśle ograniczając. Sąd o *wartości literackiej* dzieła i o *mierze talentu* piszącego pozostawiono krytyce. Była to sprawa pomiędzy nią a czytającą publicznością. Autor, oddawszy dzieło pod jej sąd,

wyrzekał się już roli adwokata własnej sprawy.“

Jeżeli gniew podyktował panu Sz. te wyrazy, pozwolił on mu „nie przebierać w środkach,“ jeżeli pamięć — zdradziła go niemiłosiernie, jeżeli przyjaciel — nadużył jego dobrej wiary. Pomijając bowiem to, że zwyczaj odpowiadania na krytykę utworów jest we „wszystkich literaturach europejskich“ bardzo bywały, o czem jeżeli nie wie członek międzynarodowych kongresów, to wiedzieć powinien polak znający Mickiewicza i jego „sążnistą“ odpowiedź recenzentom warszawskim, zabawniejszą w tym wypadku jest okoliczność, że nigdy nawet całowymi artykułami nie odpowiadałem na „krytyki podające rozbiór moich utworów.“ Tylko do *Niewinnych* dołączyłem całkiem poboczne wyjaśnienie wolności woli a drugi raz znowu w sporze historycznym zaprotestowałem przeciwko opacznemu tłomaczeniu roli instygatora w dawnych sądach polskich, co nie dotyczyło sądu sprawozdawców o „wartości *literackiej* dzieła“ i co jako niewykraczające z „kwestyi zasad“ wyraźnie jest przez p. Szymanowskiego dozwolonem. Jest to tem fatalniejsze przemachnięcie się w nieprawdzie, że w pismach, które redagowałem, nie podawałem nigdy nawet przedmiotowych sprawozdań z moich dramatów na scenie granych.

„Nasrożył się—pisze coraz ryzykowniej p. Sz. — jak jeż kolcami przeciwko *nieistniejącym* zaczepkom... Niema może autora, z którymby się *wyrozumiałej* obchodzono... Nie pojmuje on tego, że ludzie szanujący pióro *oszczędzali* go, jak się *u nas* oszczędza prawdziwy talent.“ No, kiedy już mam za tę „wyrozumiałość“ i „oszczędzanie“ publicznie podziękować, niech że mi wolno będzie uczynić to szczegółowiej. Kiedy napisałem *Niewinnych*, konserwatywne pisma warszawskie zawołały chórem, że „usprawiedliwiam wszelką zbrodnię;“ kiedy wyszedł *Ojciec Makary*, ksiądz Podolski we Lwowie wykazał w obszernej rozprawie, że usiłuję wyprzeć katolicyzm z Polski i na jego miejsce wprowadzić obrządek wschodni, niejaki zaś p. Tomkowicz oskarżył mnie o rusyfikowanie języka, gdyż w jednem miejscu po przeczeniu użyłem spójnika *a* zamiast *lecz*, ksiądz Golian zaś wyklął z ambony a *Czas* wezwał wszystkie „uczciwe rodziny,“ ażeby przypadkiem nie poszły słuchać publicznego czytania mego dramatu. Warszawska prasa konserwatywna „oszczędzała“ mnie tak dalece, że nawet w bibliografii nie wspomniała o wyjściu *O. Makarego*. Ostatecznym wynikiem jedynego sprawozdania o *Poddańce* był wniosek, że jestem „ptakiem, który kala własne gniazdo.“ Przez pięć lat nie doniesiono ani jednem słowem, że napisałem *Piękną*, a gdy ją wystawiono na scenie i trzeba było coś powiedzieć, *Kuryer Warszawski*, *Gazeta Warszawska*, *Gazeta Polska*, *Bluszcz* i in. potraktowały ów „prawdziwy talent“ tak, jak się traktuje nieudolną i wstrętną ramotę. Najmizerniejszej farsie ogródkowej umieją ci panowie przyznać bodaj drobną zaletę, moje prace odzierają z wszystkiego. Gdym napisał artykuł polityczny w *Ognisku*, spokrewniono go z łapownictwem Kamińskiego. Z powodu tejże samej książki *Gaz. Krakowska* bluznęła takim potokiem błota, że aż wiedeńska *Reform*, poświęcona sprawom polskim, uczuła potrzebę zalecić jej mydło i wystąpić w obronie naszej. Nie uszanowano nawet mojego życia prywatnego. *Czas* zamieszczał korespondencye (przedrukowywane w Warszawie), że mój dom, ograniczony do najściślejszych stosunków rodzinno-przyjacielskich, jest tajemnym klubem bluźnierców religijnych, a dwa pisma warszawskie niegodziwie szarpały najczulszą strunę mego serca wtedy, kiedy dziki wilk uszanowałby boleść ojca. Przynajmniej raz na tydzień *Czas*, *Gaz. Narodowa* lub inne tegoż sumienia zagraniczne pisma polskie zamieszczają jakiś przeciwko mnie paszkwil. Oto jest „wyrozumiałe obchodzenie się“ i „oszczędzanie prawdziwego talentu — u nas.“ Przytoczyłem te fakta (tysiące drobnych pomijam) nie dla tego, ażebym się na nie skarżył, gdyż — jak powiada Schiller — „nie głośna, ale jedynie sprawiedliwa nagana obrażać może“ a wszelkie plugawe wymysły lub podgryzania złości są mi obojętne; chciałem tylko pokwitować ze wspaniałomyślności „ludzi szanujących pióro“ i podziękować p. Szymanowskiemu, że swoim mimowolnym humorem tak skutecznie chce wyleczyć moją „mizantropię.“

Niestety, nie o mizantropię tu chodzi. Ostatnie dzieje naszego społeczeństwa, rozsnuwające się w ciągłych i głębokich przełomach, odlewają ludzi z najrozmaitszego materyału i dają im najrozmaitsze siły umysłowe. Każda nowa epoka przedstawia nowe zadania i co więcej, daje nową wiedzę. P. Szymanowski (nie on tylko) należy do innego pokolenia i, że tak powiem, innej szkoły; dlatego też wielu zasad całkiem nie rozumie i wielu wiadomości całkiem nie posiada. Zdaje mu się ciągle, że w obozie postępowym zgromadziła się zuchwała „młodzież,“ że on swoimi gładkimi przekładami z francuskiego wlewa w ogół dostateczne życie, że cała nauka ostatnich czasów, to tylko chwilowe zboczenie. Tymczasem owa młodzież zbliża się pomału do starości, owe przekłady i wszelkie płody beletrystycznego tokarstwa nie wystarczają, owa nauka opanowała rozwój cywilizacyi, którego prawidłowość nie wypływa z najżyczliwszych rad ojcowskich. P. Szymanowski musiałby się wiele jeszcze nauczyć i wiele zapomnieć, musiałby przedewszystkiem nawyknąć do większej ścisłości w sądzeniu zjawisk, ażeby mógł nas właściwie pojąć i należycie ocenić. Bez tego przygotowania, bez chęci nawet głębszego wniknięcia w prądy, które przed jego oczami przepływają, będzie on tylko wzdychał, prawił morały, przekręcał myśli, lekceważył działalność przeciwników, słowem przyczyniał się do tworzenia tej czarnej chmury, która, według Liviusza, może zaćmić prawdę, ale niezdolna jej zgasić. Jeżeli powiada, że my od naszego wystąpienia datujemy jakąkolwiek erę piśmiennictwa, że nas ogarnęła nieograniczona pycha, że poniewieramy wszystkiem, co w nasz systemat wprawić się nie da, to zdradza tylko kulawy gniew, który nie ma na czem się oprzeć. My nie uważamy się za mesyaszów, za nieomylnych, tylko wierzymy w nasze przekonanie, bronimy ich, nie pozwalamy się odsądzać od czci i wiary, czernić, łżyć, szkalować i nie przebaczymy takiego targania się na powagę i uczciwość naszą nikomu. Jeżeli p. Szymanowski i jemu podobni sądzą, że wrzawa polemiczna jest zbyt ostrą, niech nie szukają przyczyn złego tylko po za sobą, lecz także w sobie, niech zbadają swoje siły i środki walczenia, nadewszystko niech raz na zawsze wyrzekną się grzecznego i gładkiego paszkwilu, który sponiewierał najświętsze wyrazy i hasła.

Kuryer Warszawski puszcza swe złorzeczenia przeciw *Prawdzie* na dwa ganki: p. Szymanowski miele tę mąkę drobno, p. Sabowski grubo. Pierwszą przesieliśmy, drugiej poważnie nie dotkniemy. P. Sabowski wymyślając coraz nowe kłamstwa (w ostatnim występie twierdzi, żeśmy ideę pracy wewnętrznej uznali za swój wynalazek), nadstawia nam się zuchwale, ufając naszej dyskrecyi, że nie porównamy publicznie jego pod rozmaitemi datami głoszonych „prawd“ i nie ominiemy pewnych skrupułów. Niech ufa — bo się nie zawiedzie. Zawiedzie się natomiast we wszelkich swoich „pytaniach,“ nadzianych szykaną, bo do godności naszego pióra należy również odmowa odpowiedzi na nie. W satyrze przygodnej, w drwinie może on ją nieraz znajdzie, ale w poważnym wywodzie nie. Że p. Sabowski dla spełnienia swych obowiązków w *Kuryerze Warszawskim* pragnie wyjść z nami po za granicę sporu przedmiotowego dla spróbowania szczęścia w osobistej burdzie — rozumiemy, ale że nas w publicznem piśmie po za tę granicę nie wyprowadzi — niech będzie pewnym. *Derbheit ist noch keine Redlichkeit.*

A. S.

W PERSPEKTYWIE.

Moja wycieczka na Podlasie. — Wrażenie ogniste i wrażenie restauracyjne. — Rozmowa z ojcem duchownym ku pokrzepieniu duszy. — Kilka klejnotów. — Prowincya. — Nasze przysłowia i zabytek cywilizacyi kopalnej. — Dość już lamentów. — Nowy „król Olch.“

Wracam z podróży. Odbyłem wycieczkę do jednego z najpiękniejszych grodów Podlasia, a ponieważ nie chcę być gorszym od innych podróżników, więc opiszę swoje „wrażenia.“

Wrażenie pierwsze *ogniste*. Nazywam je tak dla tego, iż dotyczy ono oraganizacyi straży ogniowej, która, jeżeli nie jest wzorową, odznacza się za to wielką oryginalnością. Na jednym z placów miejskich ujrzałem wspaniałą wieżę. Cicerone mój opowiedział mi o niej co następuje.

— Jest to strażnica. Na wierzchołku jej znajduje się mała wieżyczka z galeryjką, po której chodzi strażak...

— Nie widzę strażaka...

— Poszedł zapewne na obiad, a zresztą mamy jeszcze dzień jasny; ogień i bez strażnicy każdy zobaczy z łatwością; ale posłuchaj. W małej wieżyczce znajduje się zwykle strażak nr. 2; stanowią oni razem trzecią część naszej ogniowej załogi. Kiedy mieszkaniec galeryjki spostrzeże w nocy grożące miastu niebezpieczeństwo, wchodzi do wieżyczki, budzi śpiącego towarzysza i po należytem przygotowaniu, aby go nie przestraszyć, oznajmia mu o wypadku. Obaj wtedy udają się na galeryę w celu sprawdzenia katastrofy, po czem dopiero mieszkaniec wieżyczki schodzi na dół i pośpiesza do koszar odległych o kroków tysiące. W ten sposób szybkość ratunku zależy głównie od tego, jak prędko strażak nr. 2 ocuci się ze snu i o ile wprawnym jest w ubieranie się po ciemku. Przed kilku laty miasto całe spaliło się do szczętu: przyczyną tego była okoliczność, że śpioch obrzydły długo bardzo nie mógł znaleźć lewego buta... Już to, mów sobie co chcesz, lewe buty zawsze są jakąś fatalną przepowiednią, w tem coś jest...

Jeżeli organizacya straży ogniowej przeniosła myśl moją w owe szczęśliwe czasy, kiedy nie znano jeszcze „szatańskiego postępu,“ to jednak przekonałem się niebawem, iż była ona ostatnim w miasteczku anachronizmem.

Ludność miejscowa żywo interesuje się najnowszemi zdobyczami nauki i sztuki. Przekonało mię o tem moje „wrażenie drugie“ — *restauracyjne*. Siedziałem sobie w pierwszorzędnej jadłodajni, gdzie się zbiera zwykle kwiat tamecznej „jenteligencyi.“ Kilku jej przedstawicieli prowadziło właśnie jakąś ożywioną rozmowę; na stole przed nimi leżał najświeższy egzemplarz... „widma“ alias „widoku Gambetty.“

— Hm, co to może być takiego panie Adamie?

— Ha, jakiś figiel niemiecki...

— Zawsze niemcy znają się trochę na cza... na sztukach — woła trzeci.

— A, panowie nie wiedzą? Nie panie Adamie, to bardzo proste; wie pan to taka sama zasada jak w fotografii... pan rozumie?

— A, rozumiemy, rozumiemy! — odpowiadają wszyscy.

Wiedziałem, że nie rozumieją, ale nie śmiałem wtrącać się do rozmowy, nie mając „mandatu."

Żałuję również, że nie miałem upoważnienia zwiedzić jednej z najbliższych owego miasta parafij. Szereg moich „wrażeń" nie byłby się tak prędko wyczerpał i nie potrzebowałbym teraz posiłkować się opowieściami osób drugich i trzecich. W tem miłem zaciszu wiejskim przebywa od roku nowy pasterz baranków i owieczek. Pozwól mi, czytelniku, że dla pokrzepienia duszy mojej pomówię chwilkę z tym ojcem duchownym.

Zacny ojczulku, czyś ty słyszał, że społeczeństwo nasze patrzy na was, jak na stróżów pewnego bardzo wielkiego skarbu, że piętnem odstępstwa znaczy każdego, kto o was źle mówić się odważy? Czy Czy ty wiesz, jak się nazywa człowiek, który wyzyskuje ślepotę i niedołęstwo swych braci? Myślę, że wiesz. Rozumiesz nawet, że społeczeństwo twoje jest w grubym błędzie, rozumiesz, że powagę waszą u ludu podkupują — nie pisma postępowe, ale wasze własne postępy — w chciwości, rozumiesz, że parafianie twoi dawniejsi nienawidzili cię szczerze i gardzili tobą; wiesz nawet, że po twoim wyjeździe zakupili mszę aż za 35 rs. na podziękowanie Bogu, że ich od ciebie uwolnił. Wiesz o tem wszystkiem, ale o owieczek twych opinię nie dbasz — śmiejesz się z niej zapewne, strzygąc twoje baranki. To, że za kartki spowiedne bierzesz od nich po 2 złp. dla siebie i po 4 grosze dla twego sługi —to jeszcze pomijam, ale nie obdzieraj że ich na każdym kroku. Mylisz się, sądząc, że nasza kołowacizna wszystkim nam zamyka oczy i uszy: znajdą się zawsze tacy, co cię zdemaskują. Znajdą się tacy, co się nie zlękną ciebie nawet wtedy, gdy ich będziesz wywoływał z kazalnicy, jak owych chłopów i zaściankowych szlachciców, którzy nie chcieli ci płacić nałożonego na nich podatku od włóki.

Jeżeli zasmuciłem was, czytelnicy — wybaczcie. Nie mogłem nie zwrócić uwagi na jedną z pereł naszej prowincyi.

Mam jeszcze kilka innych klejnotów do obejrzenia. Najpiękniejszy z nich błyszczy w popiele wielkiego ogniska, który się nazywa Bankiem rolniczym Wileńskim. Ten brylant czystej wody oddawna już zdobi koronę poważnej instytucyi finansowej, ale my tu w Warszawie dowiadujemy się o nim dopiero teraz od nowogrodzkiego korespondenta *Gazety Polskiej*. Jak wam się podobają takie np. dwa paragrafy ustawy bankowej. 1. Dłużnik niewypłacalny płaci za każdy dzień po terminie tyle, ile wynosi *procent roczny od całej sumy*... 2. Dłużnik wypłacający dług ratami płaci *ciągle procent od całej sumy*. W interesie ziemian litewskich proponowałbym przeniesienie do Wilna kilkunastu lichwiarzy z Nalewek. Zresztą w błogosławionej nadniemeńskiej krainie nie tylko takie wakują „posady." Osierocone zostało niedawno w jednym z tamecznych powiatów stanowisko „sprawnika," który miał nieszczęście narazić się władzy za to tylko, że w rozrzewniającej harmonii żył z koniokradami. Nie wspominałbym o tych panach, gdyby nie ciężki obowiązek prasy dopomagania instytucyom społecznym. Ponieważ mieszkańcy niektórych powiatów Litwy obłożeni są przez koniokradów stałym podatkiem, czy nie lepiej by więc było, aby władze same ustanowiły dodatkową opłatę a improwizowanym poborcom dały mniej nużącą pracę np. wyplatanie koszyków; dostarczeniem surowego materyału do tej fabrykacyi zajęliby się chętnie przedsiębiorcy więzienni. Zanim to nastąpi, szczęśliwi „interesowani" ułożą sobie nowe przysłowie: „Spokojny, jak koniokrad wobec sprawnika."

Przysłowia są mądrością narodów. My mamy tyle przysłów, że cała nasza mądrość w nich ugrzęzła. Dla tego też zapewne trudniąc się rolnictwem od lat tysiąca, mamy o nim takie pojęcie, jak ów niefortunny sprawniko uczciwości. Dowodem niech będzie postępowanie rolników podolskich, którzy pozwalają wywozić od siebie do Anglii ogromne zapasy fosforytów i w ten sposób ubożą się dobrowolnie. My tam, panie dobrodzieju, z kamieni chleba jeść nie będziemy. Zachód głupi to niech sobie za nie płaci!.. Tak jest: my z kamieni chleba nie zrobimy, ale niedługo może same kamienie jeść będziemy, a umierając z głodu, nie przestaniemy jeszcze złorzeczyć nowatorskim ideom przyrodników, którzy gorszą naszą młodzież i obdzierają nas z najdroższych naszych itd. Przyszły badacz naszej cywilizacyi znajdzie kiedyś w archiwum *Inżenieryi i Budownictwa* taką notatkę: „Wieś N. N. na Podolu 1. *Materyał surowy*. Jakieś kamienie, które jacyś żydzi zakupują od nas i wywożą do Odessy. 2. *Sposoby fabrykacyi*. Kamienie te przerabiają się u nas na warsztatach, okrytych zielonem suknem a żony nasze umieją wyrabiać z nich atłasowe suknie i koronki." Duplikat tej notatki posyłam pod adresem „Kijowskiego Towarzystwa Rolniczego." Charakterystycznem jest, że, ilekroć prasa odważy się wytknąć „większym posiadaczom" ich niezaradność — nigdy nie omieszka wynurzyć im swej kondolencyi z powodu wyjątkowego ich położenia. Niema w naszym kraju ani jednej muchy nawet, któraby tego nieszczęśliwego położenia w melodyach swoich nie uwieczniła; ale dość już tych babskich lamentów, ktore zabijając energię słabszych, pozwalają nicponiom i leniuchom wypasać się kosztem ubożenia kraju.

Kosztem zubożenia biednego nauczyciela w ostrołęckim pasie się teraz jakiś humorysta-leśniczy, zmuszając pedagoga do ogrzewania szkoły własnym opałem. Sprawa toczy się przed kratkami *Echa Łomżyńskiego*, a treść jej taka. Wykupiwszy w kasie powiatu kwit na drzewo z lasów rządowych, nauczyciel posłał go do p. nadleśnego z prośbą o wyrąbanie dla szkoły i ustawienie w sągi pewnej ilości drzewa. Nowy „król Olch" odpowiedział, że w ustawie zaszły pewne zmiany, które nie pozwalają zarządowi trudnić się wyrębem i że żądanie nauczyciela obraża... jego leśniczowską mość. Pedagog zażądał wtedy zwrotu pieniędzy za wyrąb i prosił o wyznaczenie odpowiedniego uczastka, aby sam mógł posłać fury po drzewo. Milczenie było odpowiedzią na pierwsze z tych życzeń, drugie zaś zostało uwzględnionem o tyle, że, jak mówiłem, nauczyciel swoim kosztem musi opalać szkołę. Powiedziałbym parę słów o panu leśniczym, ale weźmie to jeszcze za obrazę swojej godności.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 8 marca.

Ogólny powiew pokojowy. — Budżety i deficyty. — Porozumienia dyplomatyczne. — Powrót Gladstona.— Proces dubliński i mowa Forstera. — Rozruchy w Andaluzyi. — Niedołęstwo konferencyi, — Bomby rzymskie.

Obie półkule tchną dziś zupełnym spokojem, którego ciszę chwilowo tylko przerywają mniejsze spory, załatwiane drogą układów dyplomatycznych. Podróż rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Giersa do Berlina i Wiednia, świeży pobyt Gladstona w Paryżu, wreszcie konferencya międzynarodowa w Londynie wyrównały nieporozumienia i pretensye bieżące tak, że „politycy czarnej kawy", żądni silnych wrażeń i wszyscy ci, co zawsze spodziewają się „wojny na wiosnę", niemiłego doznają zawodu. Panowie, ci nie mogąc śledzić dalekich wypraw nad Dunaj lub Nil, będą musieli pocieszać się majówkami w pobliskie swych siedzib okolice. Mili bogowie, czyż to nie lepiej?

Myśmy tak już przywykli do rządów świata za pomocą pałasza, że jak tylko przestanie on pobrzękiwać, zda nam się, że świat stanął w swym biegu.

Po rozpaczliwym boju słowian południowych za wolność z Turcyą, po odrzuceniu wojsk otomańskich za Dunaj i za Bałkany, armie europejskie, nawet niebiorące udziału w walce, długo jeszcze stały pod bronią niepewne jej wyniku. Wysiłki militarne w ogromnych kosztach uzbrojenia i w ludziach odrywanych od pracy wycieńczyły ludy, których gospodarstwo wewnętrzne zgubnym uległo wstrząśnieniom. Gdy gorączka wojenna minęła, dyplomacya wzięła się do gojenia ran i pomimo niezaspokojanego głodu pod wielu względami widzi, że z wyssanych cytryn polityki zagranicznej więcej na teraz nie wyciśnie.

Wobec pokaźnych deficytów oblicza reprezentantów ludu wyciągają się niemile, więc parlamenty radzą nad budżetami i łataniem dziur finansowych. A dziury to znaczne. Deficyt Austryi np. wynosi przeszło 32.000.000 guldenów! Gdzieindziej nie wiele lepiej. Nowe ciężary, nowe podatki i pożyczki, to zwykła przegrywka strof budżetowych pozycyj. Niestety, pokój czy wojna — zawsze płacić trzeba.

Wobec niezbyt różowego stanu finansów Kalnoky i Bismark tem chętniej porozumieli się z Giersem, a Challemel-Lacour z Gladstonem, który, w przejeździe przez Paryż do Londynu z Cannes, wytargował na Francyi zrzeczenie się pretensyi egipskich, w zamian za co zezwolił jej na zrównoważenie tej ofiary w Syryi. Pomimo więc tymczasowego załatwienia awantury z włochami w Trypolisie, niedługo zapewne będziemy czekali na dojrzenie kwestyi syryjskiej i trypolitańskiej zarazem.

Porozumienie świeże pomiędzy Gladstonem i Challemel-Lacourem miało i ten skutek, że nowy francuski minister spraw zagranicznych mógł oświadczyć w senacie, iż Francya zajmuje Tunetanię stanowczo i zrzuca maskę protektoratu tymczasowego.

Podczas gdy lew brytyjski trawi nowe zdobycze afrykańskie nad Nilem, odwieczna kwestya irlandzka stanęła mu kością w gardle. Z powodu ważnych faktów, wykrytych przez proces polityczny w Dublinie, Gladstone musiał przerwać swoje „dolce far niente" we Francyi i stanąć przed parlamentem, gdzie mówcy opozycyi zaczynali gwałtownie atakować gabinet. Mowa zwłaszcza Forstera, b. ministra do spraw irlandzkich, była dla kierowników rządu angielskiego silnym razem. Forster dowodził ni mniej ni więcej, tylko że naczelnik gabinetu popełnił gruby błąd polityczny, porozumiewając się o reformy z przedstawicielami Irlandyi, którzy jednocześnie należeli do tajnego spisku mordów terorystycznych, spełnianych w biały dzień na urzędnikach i namiestnikach angielskich w Dublinie. W rzeczy samej Sheridan, z którym na zalecenie Parnella traktował Gladstone, był jednym z głównych kierowników terorystycznej walki na noże w Irlandyi. Przy rozprawach w tej sprawie w parlamencie londyńskim opozycya zachowawcza natarła niemniej gwałtownie na Parnella za współudział ligi rolnej w tajnem sprzysiężeniu. Liga ta, wedle zeznań świadka Careya w trybunale

dublińskim, dostarczać miała spiskowym pieniędzy na spełnianie tajnych wyroków śmierci, wydawanych nietylko przeciwko urzędnikom, ale i przeciw wielkim właścicielom ziemskim, najbardziej ciemiężącym swych biednych fermerów.

Świeże wzburzenie anarchiczne w Andaluzyi hiszpańskiej przedstawia charakter podobny do agrarnego ruchu nieszczęsnej Zielonej wyspy. I tu w rozruchach głównie biorą udział drobni rolnicy oraz robotnicy miejscy. Olbrzymie stowarzyszenie anarchistów andaluzyjskich, tak zwany „Związek czarnej ręki", liczy blisko 50.000 członków, podzielonych na 800 sekcyj, kierowanych przez tajny komitet rewolucyjny. W Granadzie i Maladze wykryto dyrekcye lokalne stowarzyszenia, które głównie oddziaływa na robotników, zalecając im organizaryę bezroboci na wielką skalę dla uniemożliwienia przyszłych zbiorów wielkim właścicielom ziemskim. Generał-gubernator Andaluzyi udał się do Xeresu dla nadania władzom tamecznym szerszych pełnomocnictw w celu przedsiębrania środków nadzwyczajnych przeciw anarchicznemu ruchowi. W okolicach zagrożonych zwiększono siły wojskowe, mianowicie kawaleryi i żandarmeryi konnej. Jakie będą rozmiary i dalsze rezultaty tego całego ruchu, dziś ocenić trudno.

Konferencya dunajowa w Londynie pomimo optymistycznych zapewnień mowy tronowej królewskiej, nie może wysiedzieć jaj swoich uchwał, z protokółów jej obrad nic stanowczego jeszcze się nie wylęgło. Układy uboczne co do różnych szczegółów zabierają dużo czasu i nowe posiedzenia mijają bez rezultatu.

Wybuch bomb rzuconych w Rzymie w pobliżu ambasady austryackiej i Watykanu nie sprawił żadnego zniszczenia. Nie przedsięwzięto z tego powodu nawet aresztowań.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Brak programu — według *Nowej Reformy* — jest przyczyną rozluźnienia się węzłów, łączących prawicę wiedeńskiego parlamentu z rządem cislitawskim i spajających pojedyncze kluby ze sobą. Nie tylko rząd nie posiada jasno sformułowanego planu, ale też i sojusz pojedynczych frakcyj prawicy jest luźnym. Fakty, świadczące o tem, mnożą się z dniem każdym.

„Z początku — powiada wspomniane pismo — radzono sobie jakoś bez programu. Pocieszano, że gdy się rząd wzmocni, przystąpi on na seryo do wykonania programu antonomicznego. Dziś rząd ten wzmocnił się i utrwalił o tyle przynajmniej, że w obu Izbach ma zapewnioną większość, ale nie widać z jego strony żadnego zapędu ku wykonaniu obietnicy. Stąd też niezadowolenie u najsilniejszych grup prawicy, tem naturalniejsze i silniejsze, że dla utrzymania rządu tego ponoszą one znaczne ofiary.

Taki stan rzeczy, jeżeli potrwa dłużej, doprowadzić może do przykrej katastrofy. Upadek rządu obecnego w warunkach normalnych, t. j. wobec silnej i zorganizowanej większości, mogącej każdej chwili wydać ze swego łona rząd nowy o jasnym programie, mógłby być wypadkiem pożądanym — dzisiaj sprowadzić może jedynie klęskę. Na to jest jeden tylko środek: jasne, wyraźne, stanowcze wywieszenie sztandaru autonomicznego, skupienie około niego całej prawicy, postawienie rządowi *aut-aut*. Będzie wtedy większość zdolna do rządzenia, bo celu świadoma, chociaż może o kilka głosów od dzisiejszego słabsza. Będzie też i rząd więcej stanowczy i silniejszy, bo będzie miał drogę wskazaną i wiedzieć będzie, o kogo się opiera. A gdyby tak wytkniętej drogi za swoją przyjąć nie chciał, nie trudno będzie większości zastąpić go innym.

Jeżeli komu zaś, to naszym właśnie posłom przypada rola podniesienia sztandaru autonomicznego, nie doryweżo stawianemi poprawkami, ale w sposób, któryby nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że to jest nieodmienny warunek dalszej solidarności naszej z prawicą i dalszego popierania rządu."

Głos *Nowej Reformy* jest bezsprzecznie wyrazem życzeń i dążeń całego kraju, reprezentowanego przez Koło polskie w Wiedniu. Czy to ostatnie zdobędzie się na tyle energii i pójdzie za tem wezwaniem— wątpić można snadno. Przyzwyczajeni jesteśmy widzieć je toczące się po innych ścieżkach, a nie po tych, które mu kraj wytyka.

Z mowy Hausnera. Mowa byłego secesyonisty oraz przeciwnika dr. Dunajewskiego z czasów okupacyi Bośni i Hercogowiny, wypowiedziana zeszłego tygodnia w wiedeńskim parlamencie w obronie projektu budżetowego, niezwykłe wywarła wrażenie we wszystkich kołach, interesujących się dzisiejszą dwulicową polityką Austryi. Przemówienie to bezsprzecznie było świetne i niewątpliwie dodało cementu do rozsypujących się podstaw łączności prawicy z rządem, ale — również bezsprzecznie i niewątpliwie rola obrońcy bezbarwnego gabinetu hr. Taaffego i arcy-mistrza w pompowaniu podatków, ministra-rodaka, bez porównania stosowniejszą by była dla każdego innego członka prawicy, tylko nie dla p. Hausnera. Wszystko niemal, co było do powiedzenia na obronę rządu, wypowiedział mówca, przemówienie swoje krasząc nieopuszczającym go nigdy humorem; o wszystkich czynnikach ekonomicznych wspomniał, rozwój ich pomyślny starając się wykazać koniecznie, mimo to o niesłychanym wzroście dwóch czynników zapomniał — o licytacyach i egzekucyach... Brak ten wytknął mu *Szczutek* lwowski bardzo słusznie, boć przecież te dwa działy ekonomicznego życia Galicyi, którą p. Hausner reprezentuje w Wiedniu, rozwijają się w prowincyi tej niesłychanie.

Ta natomiast część mowy, gdzie p. H. walczy z centralistycznymi zapędami lewicy i jej pangermańskiem zuchwalstwem wobec innych austryackich narodowości, nie może już podledz żadnemu z naszej strony zarzutowi. Zacinał mówca lewiczaków i rąbał ze wszystkich stron, aż drzazgi leciały z niemców, których ból przytłumionym następnie odezwał się jękiem w całej wiernokonstytucyjnej prasie. Z siekaniny tej przytoczymy tutaj parę ustępów. I tak nawiązując rzecz do przemówienia Carnerego, uskarżającego się na pozwolenie założenia czeskiej szkoły w Wiedniu, a kończącego swój wywód wykrzykiem: „Biedna Austrya!" — odzywa się Hausner:

„Dla p. Carnerego nie zdarzyło się widocznie w Austryi nic, tylko ten wielki, pożałowania godny wypadek: pozwolenie, dane biednej ludności robotniczej jednego z przedmieść miasta Wiednia, ażeby mogła w szkółce, *utrzymywanej ze środków prywatnych*, dzieciom swoim przejście w niemczyznę uczynić mniej twardem i uciążliwem. Bo pomimo szkoły czeskiej robotnicy ci, jeżeli osiedlą się stale w Wiedniu, zniemczą się, pozostaną zaś czechami, jeśli wrócą do ojczyzny. Co do skuteczności tej szkoły można mieć pewne wątpliwości, ale najelementarniejsze pojęcie prawa i swobody przemawia za tem, że w państwie pozwolenie takie dane być musi. Tak daleko więc zaszło już w naszej opozycyi zaparcie poczucia sprawiedliwości, że niema ani jednego pomiędzy panami z lewicy, któryby miał dość swobodny pogląd, iżby zrozumiał i przyznał, że przy tej czeskiej szkole zachodzi ten sam wypadek, jaki zachodzi przy zakładaniu szkół przez niemiecki „Schulverein," tyle przez nich podnoszony i wychwalany.

Zgodnie z takim sposobem myślenia, mówił rzecznik lewicy o prawach i swobodach, które nie zostały zachowane, ale nie o prawie i swobodzie. Otóż prawa i swobody stoją w średniowiecznym kontraście przeciw prawu i swobodzie w nowożytnem pojęciu. „Prawa i swobody" — to są przywileje, wyjątkowe korzyści wobec wyjęcia z pod praw i niewoli helotów. Te „prawa i swobody" opłakuje p. poseł von Carneri, tych „praw i swobód" domaga się on dla 8 milionów niemców wobec pozbawienia praw i niewoli 14 milionów nie-niemców. Boć jeśli tak nie jest, to cóż znaczy ów do nudności powtarzany frazes, że „żywotna Austrya musi być niemiecką?.." Cóż wy chcecie uczynić z tymi 14 milionami ludzi?

O co wam zresztą chodzi? Dzisiaj, pod tym rządem, który codziennie i co godzinę przeklinacie i wyszydzacie, macie w swem ręku $^3/_4$ wszystkich wysokich i wpływowych posad, chociaż stanowicie zaledwie $^1/_3$ część ludności. Język wasz jest mową urzędową w centralnych zarządach, u dworu, w parlamencie i w armii. Czegóż jeszcze chcecie?

Następnie wpada p. mówca z namaszczeniem w samochwalstwo i mówi, że opozycya imponuje swą wysoką moralną powagą. Dobrze, ależ na Boga pozwólcie panowie, niech kto inny o tem mówi... Są przecież cnoty i zalety, których nie można samemu konstatować, tem mniej sławić. To zupełnie tak wygląda, jak gdyby młoda panienka powiedziała: ja imponuję mojem dziewictwem i czystością... Mielibyśmy złe wyobrażenie o takiej dziewczynie.

A kiedy już padło słowo o wysokiej moralnej powadze, to pytam się was, panowie, gdzie i kiedy okazała ją opozycya? Czy przy regulacyi podatku gruntowego, kiedy się rozpadła i na wszystkie strony paktowała? Czy wtedy, gdy głosowała przeciw rozszerzeniu i zdemokratyzowaniu ustawy wyborczej? Czy kiedy wielką zasadę wolności przemysłowej porzuciła? Czy może niedawno, gdy wystąpiła przeciw zakazowi sprzedaży dwóch dzienników, a nie miała odwagi wnieść projektu całej reformy ustawy prasowej? Lub czy nareszcie wczoraj, kiedy wystąpiła z twierdzeniem, że niesłychane nigdy zepsucie wyszło na jaw? W którymże to z tych faktów leży dowód owej wysokiej moralnej powagi?

Co do owego niebywałego zepsucia, która na jaw wyszło, to proszę panów zastanowić się na chwilę. Sto razy i to od lat dziesięciu zarzucano wam ciągle, żeście wspierali oszustwo. Ja zawsze występowałem przeciwko takiemu uogólnianiu i broniłem was tu publicznie w Izbie. Ależ przyznajcie, moi panowie, że jeśli wam stała się krzywda, silne są powody uniewinniające krzywdzących: wielkość złego i jego długotrwałe skutki, liczba winnych, ich bezkarność a nadto utrzymanie ich przy politycznym wpływie. Ale czemże usprawiedliwicie się panowie, jeśli dzisiaj ten sam miotacie zarzut przeciw prawicy z powodu nieszczęśliwego człowieka, który zapomniał o swej godności, jako poseł, przez swój klub atoli zaraz odepchnięty został bez miłosierdzia?.."

Streściliśmy zaledwie kilka ważniejszych ustępów z tej mowy, wypowiedzianej bez przygotowania, odrazu, jako odpowiedź na zarzuty poprzedniego mówcy. Słuszność każe przyznać, że i druga część, traktująca o budżecie, niepospolitą zdradza znajomość rzeczy państwowych i społecznych, niemniej talent oratorski, z którym podobno nie może się równać żaden inny mówca wiedeńskiego parlamentu.

Petycya litwinów pruskich. Nietylko mazurzy, ale i litwini, zamieszkali we Wschodnich Prusiech, zaczynają dopominać się praw swoich. Pełne prostoty pismo garstki tej, oderwanej od rodzimego pnia, wystosowane do pruskiego ministra oświaty, wzruszyć zdolne jest każde serce, tylko nie teutońskie. Posłuchajmy, jak się skarży biedna Litwa pruska.

„Dziatki nasze pełne są uczuć czci i bojaźni dla swych nauczycieli, ale przecież nie możemy pozwolić, aby je bito i męczono — za nieprzystępność języka niemieckiego. Czytają one 100 i 1000 razy niemieckie zadania, dopóki się ich na pamięć nie nauczą. A zapytaj ich, co to znaczy — nie wiedzą i nigdy tego nie pojmą. Ojcowie, a prawie zawsze matki, są prawdziwymi litwinami lub litwinkami, mimo to dzieci ich konfirmowane bywają po niemiecku. Teraz jedno z drugiem porozumieć się nie może. Dzieci, nieuczone religii w języku ojczystym, zaczynają popełniać wszelakie niecnoty. Wiele z nich poczyna palić, zabijać i fałszywie świadczyć. Myśmy się zaś uczyli religii po litewsku i dla tego przez 40, 50, 60 i więcej lat przeżyliśmy bez kary."

W dalszym ciągu petycyi, uskarżającej się na trudność niemieckiej mowy, gdyż

„wiele słów brzmi jednakowo i nie można odgadnąć, co które znaczy,“ domagają się litwini dla swych powiatów zaprowadzenia w szkołach elementarnych języka litewskiego. Że nie powinni się atoli łudzić co do przychylnego załatwienia ich prośby, dowodzi najlepiej przyboczny organ księcia Bismarka, *Norddeutsche Allg. Zeitung*, która w petycyi ich nic więcej nie chce widzieć, jak tylko wpływ propagandy polskiej... Agitacya nasza pokątna — wedle słów tego szanownego pisma — już i między litwinami *Hetzereien betreibt*...

KRONIKA BIEŻĄCA.

Pytanie. Odbieramy do łatwego rozwiązania następującą zagadkę: „Szanowny kolego! Proszę cię uprzejmie o wyjaśnienie mi za pośrednictwem *Prawdy* pewnej wątpliwości językowej. Idzie mi o różnicę między *zarozumiałością* a *uporem*. Czytam w jednem z pism zdanie, że kto wytrwale broni, jawnie wyznaje i ostro przeprowadza piórem *swoje* poglądy, choćby ich nie podzielały miliony, ten jest „zarozumiałym.“ Mnie się zdaje, że po polsku można to nazwać co najwyżej „uporem.“ Zarozumiałym, jak mi się zdaje, będzie ten, kto sobie przyznaje prawo przemawiania i walczenia w imię milionów. Czy się mylę?

Przyjmij wyrazy szczerej życzliwości

Filip Sulimierski.

Szanowny autor myli się, gdyż jeżeli wyrazy i pojęcia takie, jak: *naród, p. X, kraj, redakcya Z* — są zamiennemi i równoznacznemi, to i upór w bronieniu swoich poglądów przeciw jakiemuś panu *czyli* narodowi jest zarozumiałością. Za to ów pan posiada skromność makówki, gdyż mieści w sobie wiele ziaren a ma tylko jedną głowę.

Prasa rosyjska. *Gołos* został przez ministra spraw wewnętrznych zawieszony na 6 miesięcy, po czem oddany będzie pod cenzurę.

Prasa polska. *Nowiny* od 1 kwietnia przestają wychodzić.

Zmarli. J. Wieczorkowski, b. prezes Sądu Apelacyjnego.

— B. M. Wolff księgarz w Petersburgu.

— Joanna Szajnochowa, żona znakomitego historyka.

Bibliografia niemiecka. Brandstäter *Gedanensia*. Beiträge zur Geschichte Danzigs. Tomik 2-gi, zawierający podania gdańskie i okoliczne, z rysunkami, Gdańsk 1883, str. 104, 1 i pół marek.

— Liszt *Gesammelte Werke*. Lipsk, 1882. 234 str. w 8-ce w., 5 marek; obecnie wyszedł tom V i zawiera: Fundacya imienia Goethego (1850); uroczystość weimarska r. 1857; Dornröschen Raffa; Marxa „Muzyka XIX w.;“ Ułybyszew i Sierow; o dyrygowaniu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Tom. w Ostrołęce. Niech Pan o jedno i drugie upomni się u kolportera, gdyż on, jako bezpośredni nasz prenumerator, numery i książkę albo odebrał, albo odbierze. Ponownie zwracamy uwagę, że reklamacyj abonentów, prenumerujących pismo nasze za pośrednictwem kantorów i księgarni a więc u nas niezapisanych, uwzględniać nie możemy, gdyż te kantory i księgarnie winny przyjęte zobowiązania spełniać.

P. M. K. w Kijowie. Odebraliśmy.

Pani M. Sz. Najlepsza z mniejszych *Encyklopedya* Orgelbranda kosztuje rs. 16, Ungra 10. Przesyłka rs. 1.

OFIARY.

Na kasę Mianowskiego. L. Chełmiński z Wysznego Wołoczka rs. 100, Ed. J. z Łodzi k. 50, W. Łopuszyński ze Smiły rs. 5.

Na pomnik Mickiewicza. Ed. J. z Łodzi rs. 1, W. Łopuszyński ze Smiły rs. 1 kop. 45.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Февраля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.